MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 8. WARSZAWA, 24 LUTEGO 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ROSJA MIĘDZY EUROPĄ i AZJĄ

KTO czyta prasę rosyjską i obserwuje, choćby zdaleka, to, co się dzieje w Związku Sowieckim, ten wie, iż jest tam rozpowszechnione przeświadczenie o bliskiej wojnie w Azji. Jest jasne, że zarówno zmiana „konstytucji" sowieckiej, jak i zmiany w ustroju wsi rosyjskiej są spowodowane dążeniami do oparcia się o szerokie masy włościaństwa, które przecież w razie wojny wypełni kadry armji rosyjskiej. Związek sowiecki zbroi się materjalnie i moralnie w przewidywaniu starcia na Dalekim Wschodzie.

Czy słuszne są obawy kierowników polityki sowieckiej?

Trudno na pytanie to dać odpowiedź twierdzącą, jeśli chodzi o lata najbliższe. Wydaje się raczej, że te czynniki, które ku wojnie idą, nie są jeszcze gotowe. Jeśli wszakże spojrzeć na dłuższy okres czasu, jeśli wziąć pod uwagę nie lata, a lat dziesiątki, to nie ulega wątpliwości, że nad brzegami Pacyfiku szykuje się konflikt zbrojny potwornych wprost rozmiarów. Wynika to z dróg rozwojowych ludów azjatyckich.

Chiny i Indje są w okresie fermentu wewnętrznego i krystalizowania się sił narodowych. Persja i Turcja organizują się i przetwarzają w duchu nowoczesnym. Japonja przyswoiła sobie całą technikę europejską, stała się wielkiem mocarstwem, a obecnie weszła w stadjum przetapiania nowych zdobyczy w ogniu swego ducha narodowego. Naród japoński ma poczucie swej wartości i siły, ma wielkie aspiracje, jest przeświadczony, że przeznaczeniem jego jest stanąć na czele ludów azjatyckich w ich walce o uniezależnienie się od ludzi rasy białej. Coraz wyraźniej idzie ku porozumieniu między Japonją a Chinami. Nie trudno zaś sobie wyobrazić, jaką potęgę wytworzyłoby współdziałanie dobrze zorganizowanej i zaopatrzonej Japonji z ludnemi i mającemi za sobą tradycję kilku tysięcy lat kultury Chinami!

Stoimy tedy w przededniu nowego rozdziału w historji ludzkości. Treścią jego będą wydarzenia na terenie kontynentu azjatyckiego. Aktorami w tym dramacie, obok ludów azjatyckich, będą Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Rosja, Dominja angielskie, a na dalszym planie wielkie mocarstwa europejskie, mające swe posiadłości w Azji. Następstwa tego wszystkiego odbiją się jednak na losie wszystkich państw i narodów...

To, na co się zanosi, nie będzie krótkotrwałe. Nowy okres dziejów ludzkości trwać będzie nie lat dziesiątki, lecz lat setki. Może się mylą rządcy, siedzący na Kremlu, jeśli się spodziewają wybuchu wojny w czasie najbliższym. Nie mylą się natomiast, jeśli myślą o wojnie wogóle. Nie mylą się, jeśli przewidują, że Rosja będzie wciągnięta na długo w rozwój wydarzeń na Dalekim Wschodzie. Fakt ten zaś będzie musiał mieć doniosły wpływ zarówno na jej losy, jak i na jej stosunek do Europy.

Rosja potrzebuje i będzie potrzebowała przez długi czas pokoju i spokoju na swej zachodniej granicy, Rosja musi być tedy czynnikiem pokoju

w Europie. Nie dość tego, Rosja, stając wpoprzek dążeniom ekspansyjnym ludów azjatyckich, musi się stać, z konieczności, przednią strażą Europy na wschodzie.

Dla niejednego wydawać się będzie twierdzenie powyższe paradoksem. Wszak nasłuchaliśmy się tyle o tem, że Rosja jest przednią strażą Azji w Europie. Nie będziemy się wdawali w rozważanie tego, czy naród rosyjski jest narodem europejskim czy azjatyckim, czy państwo rosyjskie jest zbudowane na zasadach europejskich czy azjatyckich. Niezależnie bowiem, jak wypadnie odpowiedź na zagadnienia powyższe, przesłanki polityczne dają podstawę do wniosku, że wobec nowych prądów i nowych dążeń wśród ludów azjatyckich państwo sowieckie musi się im przeciwstawić dziś, musi być zwrócone przeciwko nim przez czas dłuższy, a przez to, z konieczności, z natury rzeczy, stanie się „przedmurzem" Europy.

Kto się uważnie przypatrzy temu, co się dzieje w Azji, kto ze zdobytego w ten sposób punktu widzenia spojrzy na Europę, ten musi dojść do wniosku, że trzeba poddać gruntownej rewizji utarte poglądy na grożące ze strony Rosji niebezpieczeństwo dla „kultury zachodniej", na to, iż Polska jest „przedmurzem zachodu" wobec „wschodniej" Rosji, na to, co się mówi i pisze w Niemczech o konieczności solidarnego frontu europejskiego przeciw Rosji sowieckiej. Są to wszystko wnioski i poglądy z minionej epoki, wnioski i poglądy błędne, a politycznie wielce szkodliwe.

Najszkodliwsze zaś na gruncie polskim. Bo Polska sąsiaduje bezpośrednio z Rosją i jej polityka w stosunku do Rosji ma nietylko dla Polski, lecz i dla całej Europy bardzo duże znaczenie. Politycy polscy, trwając myślowo w świecie przestarzałych poglądów i pojęć, wyrządziliby wielkie szkody nietylko własnemu krajowi, lecz także całej Europie zachodniej. Boć jeśli Europa ma zachować swą niezależność duchową, jeśli nie ma uledz we współzawodnictwie gospodarczem z Azją, zasobną w surowce i w materjał ludzki, dający doskonałego i taniego robotnika, to musi ona spojrzeć na Rosję, jako na tę potęgę, która jest pierwszą zaporą na drodze ludów azjatyckich, idących ku hegemonji światowej.

Zdaję sobie sprawę z tego, że pogląd, powyżej wypowiedziany, będzie przez wielu uważany za herezję, że przeto wymaga on obszerniejszego i gruntowniejszego uzasadnienia. Wypadnie to zrobić; wobec wszakże bezmyślnego powtarzania pozbawionych treści frazesów, wobec uznawania tych frazesów za przesłanki do daleko idących wniosków politycznych, wydało mi się rzeczą potrzebną wypowiedzieć twierdzenie, które — zdaniem mojem — odpowiada rzeczywistości i które być winno punktem wyjścia dla rozumowań w polityce bieżącej, choć dotyczy rzeczy dalekich, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie.

STANISŁAW KOZICKI

MY I ONI

W WALCE O KONSTYTUCJĘ

POD tym tytułem świeżo opuściła prasę w Poznaniu broszura prof. Bohdana Winiarskiego, wiceprezesa Parlamentarnego Klubu Narodowego. Nie tylko stanowisko autora w hierarchji organizacyjnej Stronnictwa Narodowego, ale przedewszystkiem głębokość i trafność jego wywodów, opartych o rzetelną wiedzę polityczną i prawną oraz długie doświadczenie pracy publicznej, nadają szczególną wartość tej broszurze. Napisana jest przytem nie tylko jasno i przejrzyście, w sposób dostępny dla szerokiego ogółu, ale z dużym polotem wysłowienia, z którego przebija szczerość i głębokość przekonania piszącego. To, co mówi w tej pracy Winiarski, nie jest prawdą abstrakcyjną, ale prawdą żywą, jest wynikiem przemyśleń i przeżyć jego. Ta bezpośredniość, cechująca pracę, udziela się czytelnikowi, i stanowi duży jej urok.

Broszura prof. Winiarskiego powstała z dwu jego odczytów, wygłoszonych na wiosnę 1934 r. w Narodowym Zrzeszeniu Adwokatów, doszedł do tego rozdział końcowy p. t.: „Ostatni etap", omawiający uchwalenie projektu Konstytucji przez Senat, przewidywania co do uchwalenia w Sejmie poprawek senackich i wypowiadający ostateczną konkluzję.

Prócz tego rozdziału mamy w broszurze trzy inne: pierwszy, krótki, zatytułowany „Uchwała styczniowa", poświęcony jest osobliwym okolicznościom, wśród których p. referent generalny Komisji Konstytucyjnej, nie zważając na przepisy Konstytucji, mówiące o jej zmianie, ani na postanowienia regulaminu, przemienił swoje „Tezy" na artykuły Konstytucji.

Rozdział drugi poświęcony jest analizie tych „Tez". Autor omawia je zarówno z prawnego, jak politycznego punktu widzenia, zestawia z naszą tradycją ustrojową i założeniami psychiki politycznej narodu polskiego. Konkluzję swych rozważań autor ujmuje jasno i zwięźle:

„Powiedział sprawozdawca, że proponowany ustrój nie będzie dyktaturą i nie będzie parlamentaryzmem, że to będzie coś nowego i czysto polskiego, na co „nazwy niema". Jest nazwa, stara i dokładna, bo i rzecz sama jest stara i właśnie duchowi polskiemu najzupełniej obca: p a ń s t w o p o l i c y j n e". (str. 51).

Do tej analizy i charakterystyki „Tez" nie ogranicza się prof. Winiarski, ale daje nam jeszcze specjalny rozdział, zatytułowany „Zasady ustrojowe Stronnictwa Narodowego". Jest to bezsprzecznie najciekawszy rozdział w całej pracy. Zbija w nim autor zarzut, stawiany obozowi narodowemu przez blok rządowy, że narodowcy zwalczają jego projekt zmiany ustroju, ale nie przeciwstawiają mu nic pozytywnego:

„Dlatego,"—pisze prof. Winiarski na str. 54,—„godzi się przypomnieć tutaj zasady ustrojowe Stronnictwa Narodowego, a to tembardziej, że w dzisiejszych czasach przewrotu ludzie naogół zbyt skłonni są zapominać o doświadczeniach własnych i cudzych, lekceważyć prawa, rządzące bytem społeczeństw i przykładać nadto wielką wagę do pomysłów i eksperymentów, o których wartości dziś jeszcze niewiele powiedzieć można, o których niewiadomo, czy się utrzymają we własnej ojczyźnie i czy nadają się do przeszczepiania na grunt obcy".

Stwierdza zgodnie z tem prof. Winiarski (str. 57), że

„Kierunek narodowy w Polsce zachował własne oblicze i sąd niezależny; zasad ustrojowych nie potrzebuje dopiero opracowywać, ani nie zmieniał ich zależnie od konjunktury".

Polska, zdaniem autora, musi d l a s i e b i e rozwiązać odwieczne zagadnienie pogodzenia interesów ogółu i jednostki, ładu i wolności, władzy i prawa (str. 65). Odrzuca on demokrację w sensie mechanicznego zrównania wszystkich obywateli i formułuje pozytywnie to podstawowe zagadnienie, przytaczając cytat z dzieł Popławskiego:

„Demokratyzm nasz określa się dążeniem do przekształcenia społeczeństwa na organizację samoistnych obywateli, decydujących świadomie o swoim losie... Z przenikaniem świadomości społecznej i politycznej w masy ludowe idzie w parze narodowe ich uświadomienie, z ich udziałem zaś w sprawach publicznych wzrasta napięcie narodowego życia... przeto uważamy, iż w dzisiejszym układzie stosunków społeczne i polityczne interesy o g ó l n e ludu są równoznaczne z interesami Narodu". (str. 66).

To też prof. Winiarski zgadza się z tem, co powiedział Prymas Polski w historycznym dokumencie:

„Klęską dla idei państwowej musi się skończyć sprowadzanie obywatela do biernego świadka życia państwowego, do płatnika, nie mającego wglądu w to, co się z groszem publicznym dzieje, do niewolnika, zaprzągniętego przymusowo do państwowego rydwanu". (str. 67).

Te zdania wykreślają kierunek myśli prof. Winiarskiego w zagadnieniach ustrojowych. Jest ona najzupełniej skrystalizowana, wolna od doktrynerstwa, otwierająca dalekie perspektywy na rozwój Narodu i Państwa. Konstytucja, zdaniem prof. Winiarskiego, powinna stać się organizacją pokoju wewnętrznego (str. 79). To jest konkluzja tej jego pracy. Myśl ta, zdaniem naszem, musi zwyciężyć, a im prędzej się to stanie, tem większa korzyść z tego wypłynie dla naszego narodu i państwa.

WACŁAW KOMARNICKI

MAKJAWEL, MONTESKJUSZ i PROTOKUŁY MĘDRCÓW SYJONU

(Ciąg dalszy)

II

W KRAINIE zmarłych, na bezludnym brzegu nieznanej wody spotykają się cienie Makjawela i Monteskjusza. Zaczyna się rozmowa, w której Makjawel stwierdza, że zasady, sformułowane przez „prawodawcę narodów", zostały uznane i wprowadzone w życie przez pół Europy, kiedy jego własne nazwisko służy do określenia polityki, którą wszyscy potępiają nawet wtedy, gdy ją stosują. A przecie on przedstawił jedynie społeczeństwa takiemi, jakiemi są, i dlatego właśnie interesowało go bardziej to, co korzystne i konieczne, niż to, co dobre i moralne. A zresztą wiek Monteskjusza, wiek oświecenia czyż był pod tym względem inny od poprzednich i następnych? A sam autor „Ducha Praw" czyż nie był raczej beznamiętnym filozofem i politykiem, niż moralistą?

W odpowiedzi Monteskjusz tłumaczy Makjawelowi, że nauki tego ostatniego nie mają podstawy filozoficznej, bo nie można ich sprowadzić do zasad, a tych nie zastąpią siła i chytrość, tyle w „Księciu" sławione. Siła i chytrość odgrywają wielką rolę; interes jest potężnym czynnikiem; ale jeśli się ich nie ujmie w rozumne karby, zniszczą każde społeczeństwo. Makjawel w imię racji stanu dozwala panującemu tego, czego zabrania poddanym; ale każdy gwałt z góry usprawiedliwia gwałt z dołu. Zasadą despotyzmu, doprowadzoną do ostatnich konsekwencyj, jest: zabijać albo być zabitym; jest to albo upodlenie w niewoli, albo wojna domowa; jedno i drugie jest sprzeczne z naturą i potrzebami życia społecznego. Wypadki, nawet okresy takich rządów znane są z przeszłości, ale wiek dziewiętnasty daleko odbiegł od czasów, w których gwałt i zdrada nie liczyły się z niczem i w których napisany został „Książę". Ująć w karby złe skłonności ludzkie mogą jedynie dobre prawa, trwałe instytucje; otóż społeczeństwa XIX-go wieku zbyt długo już żyły w uporządkowanych stosunkach prawnych, które są także nieodzownym warunkiem rozwoju życia gospodarczego, aby dały się pozbawić dobrodziejstwa urządzeń politycznych, opartych na pewności prawnej i wolności. W odpowiedzi na długi wywód Monteskjusza, Makjawel usiłuje udowodnić, że nauki, spisane dla „Księcia", są dziś równie prawdziwe i aktualne, jak przed trzema i pół wiekami, mimo nowych idej i nowych obyczajów, mimo rzekomych zasad prawa publicznego, o których mówił Monteskjusz. Dlaczego? Bo ludzie są równie nikczemni, jak byli: płaszczący się przed siłą, bezlitośni wobec słabości, nieubłagani dla pomyłek, wyrozumiali na zbrodnie, niezdolni znosić małe przeciwności rządów, opartych na swobodzie, a cierpliwi aż do męczeństwa wobec gwałtów zuchwałego despotyzmu, bu-

rzący trony w wybuchach gniewu, a uzurpatorom wybaczający rzeczy takie, że za najmniejszą z nich byliby ścięli dwudziestu królów konstytucyjnych. Wolność była możliwa w małych państwach starożytności, gdzie wolni obywatele poświęcali się wyłącznie sprawom publicznym, niewolnikom pozostawiając wszystkie czynności służebne i poniżającą pracę zarobkową. Dziś zwłaszcza, gdy ludzie nie znają kultu wyższego nad kult złota, gdy „obyczajami kramarskiemi współzawodniczą z żydami, których wzięli sobie za wzór” (tak pisze ten mason w r. 1864), jakąż wynaleść dla nich formę rządu, któraby nie wyrodziła się w anarchję? Tylko despocję taką, jak późny cezaryzm rzymski, bizantynizm czy cesarstwo chińskie.

Monteskjusz odrzuca te wnioski. Inne czasy, inne społeczeństwa wymagają innych środków: nie można cofnąć historji o półtora tysiąca lat ani dla Europy brać wzorów z Chin. Nadto historja wskazuje przykłady inne, niż te, na które powołuje się wielki Florentyńczyk, i które, przeciwnie, pozwalają stwierdzić, że ludami prawdziwie wielkiemi były te, które się rządziły prawem i wolnością. Prawo bowiem i wolność same poddane są także pewnym normom, mianowicie zasadom prawa Bożego. Nie można rządzić społeczeństwem wbrew niemu samemu, do niego należy ostatnie słowo. Może ono, choć jedynie w ostateczności i dla słusznych a wielkich powodów, obalać rządy i ustanawiać inne, ale stąd nie wynika, aby było nieomylne; przeciwnie, może popełniać błędy i zbrodnie, a wtedy będzie ponosić skutki tych naruszeń prawa moralnego w postaci niezgody, anarchji, nawet despotyzmu... Na szczęście rozwój życia społecznego prowadzi także do udoskonalenia organizacji państwowej, ograniczając zupełnie naturalnie wybujałości i nadużycia wolności przez jednostki, uniemożliwiając zarówno anarchję z dołu, jak samowolę i despotyzm z góry. W jaki więc sposób możnaby wprowadzić i utrzymać despotyzm w państwach europejskich, których ludy bądź co bądź przepojone są zasadami moralności chrześcijańskiej, a w tej epoce rozwoju przemysłu i handlu przywykły żyć w ustroju konstytucyjnym, opartym na panowaniu ustawy, na zasadach odpowiedzialności, kontroli i jawności, przed którą, zwłaszcza wobec rozwoju prasy, żadne nadużycie zatajone pozostać nie może?

Otóż Makjawel podejmuje się dowieść, że to jest możliwe. Trzy czwarte książki zajmują jego sposoby, których Monteskjusz słucha naprzód z niedowierzaniem, potem z rosnącym wciąż niepokojem, potem z oburzeniem i wkońcu z rozpaczą.

III

Monteskjusz ma słuszność: inne czasy, inne społeczeństwa wymagają innych środków: morderstwa, tortury, gwałty i konfiskaty w państwie nowoczesnem odgrywać muszą rolę podrzędną. Chodzić więc będzie nie o to, by ludziom gwałt zadawać, lecz by ich uczynić bezbronnymi; nie żeby tłumić namiętności polityczne, lecz by je uczynić bezpłodnemi; nie żeby zwalczać instynkty, lecz by je oszukać; nie żeby potępiać ideje, lecz żeby je sobie przywłaszczyć i zmienić ich znaczenie. Główny sekret rządów polega na osłabieniu ducha publicznego w społeczeństwie, tak, aby przestało się interesować zasadami, dla których warto robić rewolucje. Słowa wystarczają tłumowi, trzeba więc, aby rząd posługiwał się temi samemi hasłami, formułami, tą samą frazeologją, którą go zwalcza opozycja, aby karmił niemi społeczeństwo aż do zmęczenia, aż do obrzydzenia.

Zanim się zacznie kierować opinją publiczną, należy ją wprzód zdezorjentować zadziwiającemi sprzecznościami, wciąż utrzymywać w niepewności, wciąż sączyć w nią sceptycyzm i zamęt, tak, aby wkońcu niemożliwem uczynić wszelkie porozumienie nawet między ludźmi, którzy mają te same interesy, te same ideje i mówią tym samym językiem. Przedewszystkiem trzeba rozbić stronnictwa polityczne, zniszczyć siły zbiorowe, gdziekolwiek istnieją, sparaliżować wszelką indywidualną inicjatywę, a wszystko w imię państwa, którego interesem rząd Makjawela zasłaniać się będzie. Państwo musi tworzyć olbrzymie monopole, banki, przedsiębiorstwa i tak od siebie uzależnić fortuny prywatne, żeby ich właściciele drżeli na myśl utraty resztek, gdyby nieszczęściem ten rząd się zawalił; państwo musi być „promotorem, protektorem i remuneratorem” na wszystkich polach. Z różnych warstw społecznych ziemiaństwo zachowało najwięcej nawyków niezależności; trzeba je zubożyć, albo i całkowicie zrujnować nadmiernemi ciężarami i polityką gospodarczą, faworyzując przemysł i handel, tak jednak, aby i tutaj nie dopuścić do powstawania jednostek gospodarczo samodzielnych. Popierać trzeba spożycie, na ten cel łatwo udzielając kredytów, zamiłowanie do zbytku i dążność do wysokich zarobków oraz do wielkich a łatwych zysków.

W państwie takiem społeczeństwo winno tworzyć bezsilny, zastraszony i potulny proletarjat, obok którego musi być niewielu bogaczy, zależnych od rządu, a pozatem: urzędnicy, wojsko i policja. Tej polityce wewnętrznej musi odpowiadać polityka zagraniczna, polegająca na fałszywej grze, intrygach, ciągłem igraniu z niebezpieczeństwem wojny. Tym sposobem społeczeństwo, w którem podtrzymuje się zręcznie obawę przed anarchją wewnętrzną, wojną i bankructwem, drżeć będzie na samą myśl rewolucji i upadku rządu, który jedynie jest zdolny wszystko jako tako utrzymać.

Makjawel podkreśla, że to wszystko musi być osłonięte słowami wzniosłemi, powoływaniem się na dobro powszechne, interes państwa, na prawo i moralność, na intencje wysoce pojednawcze i szczerze pokojowe. Rząd winien otaczać się publicystami, adwokatami, literatami i uczonymi, bankierami i przemysłowcami, biorąc ich skąd się da i takich, jakimi są, gdyż oddają oni ogromne usługi, trafiając tam, dokąd bezpośrednie wpływy rządu nie sięgają. Na wyższe, a zwłaszcza najwyższe urzędy należy mianować ludzi, których przeszłość jest taka, że ze zmianą rządu mogą spodziewać się tylko więzienia, wygnania albo śmierci; można być pewnym, że tacy ludzie będą bronić rządu do ostatniego tchnienia.

Monteskjusz uważa za konieczne, aby ustrój polityczny nie zmieniał charakteru narodu, jeśli ma zachować, a nawet spotęgować jego moralne i fizyczne siły. Przypominając ten ustęp z „Ducha Praw”, Makjawel powiada, że nie będzie potrzebował nawet dwudziestu lat, żeby swą polityką zmienić gruntownie charakter każdego narodu

europejskiego i uczynić go równie potulnym względem tyranji, jak którykolwiek z barbarzyńskich ludów Azji. W jaki sposób?

Założeniem mojem, powiada Makjawel, jest zamach, do którego zawsze można znaleźć wspólników: stronnictwa odsunięte od władzy, ułamki frakcyj, malkontenci wszelkich obozów, doktrynerzy, utopiści, demagodzy, ambicje, apetyty, nienawiści — to wszystko nietylko poprze mnie w chwili zamachu, ale wysilać się będzie potem, aby mnie przedstawić ludowi jako jedynego człowieka, zdolnego zapewnić mu spokój, porządek i dobrobyt. Bo rozumie się samo przez się, że powoływać się będę na wolę ludu, która wszystko okryje płaszczem legalizacji.

„Uzurpator jest w położeniu podobnem, jak zdobywca": musi wszystko zmienić w państwie, samorządzie i obyczajach, jeśli chce się utrzymać. Nie może wszystkiego zburzyć odrazu, ale musi zręcznem przesunięciem jakiejś ważnej sprężyny skrzywić, inaczej nastawić wewnętrzny mechanizm każdej instytucji; tak trzeba przestawić funkcjonowanie parlamentu, sądownictwa, głosowania powszechnego, prasy, wolności obywatelskich i nauczania. Siły należy użyć raz, ale dobrze; potoki przelanej krwi odbiorą wrogom nowego władcy wszelką chęć oporu. Krew tę przelać musi wojsko, bo to wykopie przepaść nieufności między niem a społeczeństwem, a to znowu dla nowego władcy jest niezbędne. W dodatku na wojsko, generałów i pułkowników, nie na mnie, spadnie odpowiedzialność za krew przelaną i dodatkowe akty terroru.

Następną zaraz troską musi boć rozpowszechnienie mojej podobizny w całym kraju, najlepiej na monetach, których wielką ilość puszczę natychmiast w obieg. Taka jest w polityce potęga małych środków. Wreszcie ogłoszę nową konstytucję.

— Która, podpowiada Monteskjusz, nie będzie pomnikiem wolności?

— Bynajmniej! Nie widzę żadnej przeszkody, aby w niej proklamować wielkie zasady państwa praworządnego, ale w sposób ogólny, najlepiej we wstępie do konstytucji. Zresztą trzeba rozróżniać prawa cywilne i prawa polityczne. Już w „Księciu" zaznaczyłem, że tyran, nie tykając tamtych, może te znosić bezkarnie. Społeczeństwa nie pragną wolności, chcą być rządzone silną dłonią. Iluż to wykształconych ludzi mówi: nie interesuję się polityką; wszystkie rządy są jednakowe; nic mi po prawach politycznych, byle mój interes szedł dobrze. A potem: czyż największy gwałciciel prawa nie wywołuje szeptu, pełnego podziwu: „To jest złe, naturalnie; ale jak zręcznie zrobione! Co za spryt! A to ma szczęście! A to ich urządził!"

Monteskjusz pragnie się dowiedzieć, jak będzie wyglądać owa konstytucja. Makjawel z całą szczerością zaspokaja tę ciekawość.

Naprzód lud będzie musiał w tej czy innej formie ulegalizować zamach. Uczyni to, gdy mu się powie: „Wszystko szło źle, państwo zmierzało ku przepaści. Zamach był jedynym środkiem ratunku. Uratowałem wszystko. A teraz możecie mnie potępić albo dać mi rozgrzeszenie swojemi głosami". Naturalnie, podstawą ustroju będzie głosowanie powszechne. Ale konstytucja zerwie z anarchją rządów parlamentarnych i umożliwi stworzenie silnego rządu, bo nie liczba, lecz wielcy ludzie tworzą wielkie dzieła. Odpowiedzialność ministrów będzie zniesiona; władca sam jeden będzie odpowiedzialny przed społeczeństwem, naturalnie, tylko w zasadzie. Inicjatywa ustawodawcza Izb będzie zniesiona. Władca wprowadzać będzie stan wyjątkowy, zawieszając prawa obywatelskie, wreszcie będzie rzeczywistym zwierzchnikiem sił zbrojnych i na jego rozkaz bagnety stłumią każdą zbrodniczą chęć protestu przeciwko wynikom głosowania powszechnego. Projektowane przez rząd ustawy, Izby będą mogły tylko przyjmować *en bloc* albo odrzucać. Sesje parlamentarne będą tylko zwyczajne — chyba że rząd zechce zwołać wyjątkowo Izby na sesję nadzwyczajną — i to bardzo krótką. Obok ustaw stosowane będą szeroko dekrety z mocą ustawy.

Izba Poselska wychodzić będzie z głosowania powszechnego, ale Senat będzie tak zbudowany, aby posłusznie wykonywał wolę władcy. Niezależność sędziowska, wolność prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń, wreszcie samorząd — wszystko to zostanie ograniczone dekretami nazajutrz po wprowadzeniu nowej konstytucji z tem uzasadnieniem, że ograniczenia stały się konieczne naskutek nadużywania tych praw przez stronnictwa, i z obietnicą, że zostaną one zniesione, gdy zniknie nieszczęsne partyjnictwo.

Wielką uwagę zwraca Makjawel w swych planach na prasę. Przyjmuje on w zupełności określenie Monteskjusza: „wolność jest prawem czynienia tego, co pozwalają ustawy", a ustawy będą pozwalać tyle tylko, ile będzie trzeba. Znosić wolność prasy byłoby niepotrzebnem budzeniem podejrzeń; ale istnieją sposoby jej unieszkodliwienia bez naruszenia samej zasady. Kto zechce wydawać gazetę, będzie musiał uzyskać pozwolenie władz; tak samo przy każdej zmianie redaktora, zarządzającego lub wydawcy. Wydawca będzie musiał składać kaucję, podatki będą wysokie. Przestępstwa prasowe będą wyjęte z kompetencji sądów przysięgłych i oddane administracji. Po kilku ostrzeżeniach pismo zostaje zamknięte. Ogłaszanie sprawozdań z rozpraw parlamentarnych i sądowych zostanie ograniczone, pod tą bowiem postacią gazety przemycają do wiadomości publicznej pewne fakty i krytyki ze szkodą dla państwa. Ogłaszanie fałszywych wiadomości będzie surowo karane. Tym sposobem wydawca, redaktor, drukarz namyślą się dziesięć razy, zanim coś wydrukują, i wkońcu przyjdą do przekonania, że najpewniej i najbezpieczniej pójść zawczasu do urzędnika i zapytać, czy zamierzoną wiadomość lub artykuł wolno wydrukować, czy nie. Cenzura jest zupełnie zbyteczna.

Ale to dopiero połowa zadania, negatywna; pozytywnie należy wyzyskać wolność prasy naprzód przez organy, które będą w różnym do rządu pozostawać stosunku. Jedne gazety będą otwarcie urzędowe, ale te nie mają zwykle żadnego wpływu. Inne mniej lub więcej pół-urzędowe, przeznaczone do działania na ludzi godzących się z każdym rządem; tych wpływ jest większy, ale jeszcze nie wielki.

Najważniejsze są dwie następne kategorje. Trzecią stanowią organy, poufnie pozyskane dla dla rządu w każdym obozie. Makjawel będzie więc miał dziennik arystokratyczny wśród arystokracji, republikański w obozie republikanów, jeśli potrze-

ba — anarchistyczny w partji anarchistów. Wreszcie będą gazety krzykliwie opozycyjne, które będą atakowały to tylko, co rząd każe atakować. Tym sposobem nikt nie powie, że niema wolności prasy, bo przecie będą pisma atakujące posunięcia rządowe, ale — co ważne! — nie atakujące nigdy samego władcy, ani jego rządu: najlepszy dowód, że społeczeństwo całe stoi za nimi niewzruszenie. Na czasopisma oporne nałoży się obowiązek umieszczania sprostowań urzędowych z zakazem odpowiadania na nie w tym samym numerze. Władca będzie miał wpływ na agencje informacyjne. Gazety będą przepełnione wiadomościami o przyjęciach urzędowych, balach, polowaniach; będą drukowały mowy ministrów *in extenso*; będą pełne odgłosów podziwu, pochodzących z różnych krajów, zresztą od suto opłacanych dziennikarzy zagranicznych. „Moje zasady, moje ideje, moje czyny" — mówi Makjawel — „będą stale przedstawiane w aureoli młodości, w uroku prawa nowego, w przeciwstawieniu do zgrzybiałych i przeżytych dawnych instytucyj".

Natomiast ważną rzeczą jest dozwolić na zupełną swobodę w wypowiadaniu poglądów filozoficznych, etycznych, religijnych. Tam niechaj piszą o wszystkiem, podają w wątpliwość wszystko: społeczeństwo, zabawiane czy gorszone temi harcami, nie będzie myśleć o polityce z największą dla państwa korzyścią.

Surowo karane będą tajne stowarzyszenia, o których rząd nie wiedział; niektóre będą tolerowane, ale w nich władca mieć będzie swoich ludzi, nietylko żeby wiedzieć o nich wszystko, ale żeby niemi kierować. *„Ce sera là comme un annexe de ma police"*, mówi Makjawel.

(Dok. n.) BOHDAN WINIARSKI

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

PRZED POWSTANIEM STYCZNIOWEM

INWAZJA kapitałów żydowskich do Królestwa w 40-tych latach XIX w. wywołała wzrost antysemityzmu. Zapowiedzi ostrzejszego starcia pojawiły się już w 1857 r. pod postacią artykułów o kwestji żydowskiej, pomieszczonych w „Gazecie Warszawskiej". Znajdujemy w nich wiadomości statystyczne o wzroście ilościowym żydów w kraju, ubolewanie nad ubogą ludnością, która wpada w szpony lichwiarzy oraz uwagi na temat, czem się różni prawdziwy przemysłowiec od spekulanta. Artykuły te jednak nie wychodziły jeszcze poza obręb spokojnej dyskusji. W lecie 1858 r. paryski „Przegląd rzeczy polskich" pomieścił artykuł, ubolewający nad wzmożeniem elementu semickiego na terenie kraju. Wywołał on pełną zjadliwej namiętności odpowiedź Lublinera. „Przegląd rzeczy polskich" odpowiedział w bardzo spokojnym tonie Lublinerowi. Z kolei wmieszała się znowu „Gaz. Warsz.", dzięki korespondencji ze Lwowa pióra Henryka Szmitta. To wywołało powtórną, niesmaczną w swej zaciekłości replikę Lublinera, na którą Szmitt zareagował w poważny, umiarkowany sposób.

Podczas tej polemiki odbył się w Warszawie, w grudniu 1858 r., koncert sióstr Neruda. Nie poparła go finansjera żydowska. Na to zareagował w dość uszczypliwy sposób Kenig w „Gaz. Warsz.", nazywając żydów „tajemniczym związkiem, trzymającym się ściśle i popychającym każdego ze swoich". Wywołało to niesłychane oburzenie żywiołów semickich w stolicy. Rozpoczęła się planowa kampanja przeciwko „Gaz. Warsz." i jej współpracownikom. Żydom warszawskim przyszła z pomocą prasa zagraniczna, uzależniona od kapitału międzynarodowego. W jednej z gazet rosyjskich, wychodzących w Petersburgu, nazwano redaktora „Gaz. Warsz." Lesznowskiego wprost niegodziwcem, który śmie obrażać żydów. W czasopiśmie *„Nord"*, wychodzącem w Brukseli, oskarżano „Gaz. Warsz.", że służy ideom wstecznym. W *„Breslauer Zeitung"* napadnięto w sposób brutalny na Lesznowskiego, a w piśmie *„L'Observateur Belge"* ukazał się osobny artykuł p. t. „Prześladowanie żydów w Polsce przez stronnictwo Jezuitów"; w artykule tym zarzucono duchowieństwu i szlachcie, wzbogaconej kosztem żydów, że podali rękę Lesznowskiemu w celu obrzucenia narodu wybranego obelgami. W tej osobliwej walce, którą żydzi wypowiedzieli „Gaz. Warsz." wzięła także udział prasa zakordonowa i emigracyjna polska. W szeregu artykułów i broszur zabrał też głos Lubliner, oskarżając Lesznowskiego o brak patrjotyzmu. Odezwał się również w tej sprawie Czyński, karcąc surowo redakcję „Gaz. Warsz.".

Przeciwko napaściom Lesznowski zamierzał bronić się w „Czasie" krakowskim. Redakcja „Czasu" odmówiła mu jednak, motywując to tem, że „wyzwałaby do walki całe dziennikarstwo wiedeńskie, będące wyłącznie w ręku żydów". Wtedy Lesznowski posłał obszerny artykuł, omawiający przebieg zatargu „Gaz. Warsz." z żydami, do „Słowa", poważnego pisma polskiego w Petersburgu, w którem współpracowali: Karol Szajnocha, Antoni Małecki, poeta Żeligowski i inni; założycielem tego pisma był Józefat Ohryzko. Pojawienie się artykułu Lesznowskiego w „Słowie" wywołało oburzenie w sferach żydowskich. Jako taranu przeciwko pismu polskiemu w Petersburgu postanowiono użyć księcia Gorczakowa, namiestnika Królestwa, bawiącego w tym czasie w stolicy Rosji. Za namową neofitów: Juljusza Enocha, naczelnego prokuratora ogólnego zebrania departamentu rządzącego senatu w Warszawie, oraz Leopolda Kronenberga, Gorczakow interwenjował osobiście u cesarza w sprawie artykułu Lesznowskiego. Zaraz na drugi dzień cesarz wydał rozkaz zamknięcia „Słowa" i osadzenia jego redaktora w twierdzy Petropawłowskiej na jeden miesiąc. Ograniczono też wolność prasy warszawskiej w wypowiadaniu się w sprawie żydowskiej. Postarał się o to Kronenberg z pomocą Enocha, cieszącego się zaufaniem Gorczakowa. Za pośrednictwem swego sekretarza, neofity Funkensteina, który był jednocześnie członkiem komitetu cenzury, i naczelnika cenzury Sobieszczańskiego, związanego ściśle z Epsteinami, nie dopuszczał Kronenberg do drukowania przez

„Gaz. Warsz.“ niemiłych dla żydów artykułów. Otwarcie przyznaje się do tego wpływowy bankier w swoim liście z dn. 23.XI.1859 r., w którym czytamy, że „pewne pismo chciało nam (czytaj żydom — przypisek) łatkę przypiąć... cenzura jednak położyła swoje *veto*“...

Zastraszyć opinji polskiej nie udało się jednak wpływowemu żydostwu. Około „Gaz. Warsz.“ skupiały się powoli żywioły, rozumiejące donioslość sprawy żydowskiej. Bardzo wyraźne stanowisko zajął względem żydów „Przegląd rzeczy polskich“, radykalny dwutygodnik, wychodzący w latach 1857—1863 w Paryżu; wydawcą jego był Seweryn Elżanowski, uważany przez J. Kucharzewskiego („Czasopismiennictwo Polskie” wieku XIX, str. 70) za jednego z poważniejszych publicystów na emigracji. We wrześniu 1858 r. czytamy w „Przeglądzie rzeczy polskich”, „że wzbogaceni żydzi warszawscy, nieprzyjaźni narodowości polskiej, a jej wrogom przychylni, jak pijawki wysysają z krajowców mienie. Twierdzenie to faktami tylko, dowodzącymi patrjotyzmu wzbogaconych, odeprzeć można, a fakta stanowcze, to praca narodowa, więzienie, Sybir, wygnanie, ruina majątków za sprawę polską, a nie sława muzyczna lub nędzne srebrniki przez bogacza dane”.

W tym samym czasie powstały w kraju pod patronatem Kościoła bractwa wstrzemięźliwości od gorących napojów. Bractwa te rozszerzyły się szybko w całem Królestwie i na Litwie. W 1860 r. liczba członków bractw wstrzemięźliwości dosięgała cyfry 500 tys. osób, przeważnie włościan. W samej gubernji Wileńskiej liczba wypitych wiader wódki z 900.000 zmalała do 550.000. Żydowscy właściciele szynków, dotknięci w najdrażliwsze miejsce, bo uderzeni po kieszeni, zaczęli szerzyć wiadomości, że księża, zakładając bractwa, prowadzą działalność polityczną i szkodzą interesom państwowym. Znaleźli się i tacy, którzy pisali do wyższych władz rosyjskich denuncjacje, że bractwa mają cele polityczne i mogą stać się w niedalekiej przyszłości potężną i arcyniebezpieczną bronią w rękach duchowieństwa katolickiego. Wskutek tego Rosjanie zaczęli zabraniać zakładania bractw. Duchowieństwo jednak nie kapitulowało i dalej propagowało abstynencję. Powiadomiona o tem przez żydów policja rosyjska karała dotkliwie inicjatorów. Wywołało to wrzenie wśród ludu polskiego, którego nastroje stawały się coraz bardziej wrogie względem żydostwa. Wyraźnie o tem pisze Agaton Giller („Historja powstania narodu polskiego”, t. II, str. 199), że „waśń, jaka w Królestwie między Polakami i żydami przed 1861 r. wybuchła, doszła do stopnia, od którego do bijatyk i kamienowań niewielkie przejście”.

Trzeba więc było ratować sytuację. W kołach wpływowego żydostwa warszawskiego zdecydowano się na wydawanie codziennego pisma politycznego. Kronenberg, którego Mikołaj Berg („Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 r.”, t. I, str. 80) nazywa „ówczesnym wodzem i kierownikiem całego ruchu żydowskiego w kraju”, postarał się o pozwolenie władz petersburskich na wydawnictwo odpowiedniego organu. Nabyto za 250 tys. złp. „Gazetę Codzienną”, która zaczęła wkrótce wychodzić jako „Gazeta Polska”. W skład współpracowników nowowychodzącego pisma, którem kierował faktycznie Kronenberg, weszło wielu wpływowych neofitów, jako to: Ludwik Wołowski, Szymanowski, Chęciński, Leon Kapliński i inni. Głównem zadaniem „Gaz. Pol.” było rozpowszechnienie w kraju nowego poglądu na kwestję żydowską. Za jej pośrednictwem kierownicze sfery żydostwa polskiego starały się wytwarzać u ogółu polskiego przekonanie, że najlepszem, najkorzystniejszem dla kraju będzie zasymilowanie żydów.

W Warszawie było wówczas mnóstwo żydów chrzczonych i niechrzczonych, którzy ten program propagowali i którego bronili. Na ich czele stali: Leopold Kronenberg, Matjas i Szymon Rozenowie, rodzina Epsteinów, Natansonowie, Leowie, spokrewnieni z nimi Estreicherowie, Frenkel, Lascy, Wertheim, Rotwand, Flatau i mnóstwo innych, mniej głośnych i mniej znanych, ale trzymających się solidarnie i popierających wszelkiemi środkami i sposobami program asymilacji. Z nimi łączyło się wiele tysięcy pozornych chrześcijan, przed stu laty nawróconych, wpływowych i majętnych, których liczba zwiększyła się znowu między 1840 — 1856 r. o kilkaset osób dzięki pracy angielskich misjonarzy, działających w Warszawie. Gorliwymi orędownikami idei asymilacyjnej byli też rasowi mieszańcy. Podobnych osobników, noszących często polskie nazwiska, było dość dużo w Królestwie. Ówczesna średnia klasa stolicy różniła się bowiem bardzo pod względem rasowym od średniej klasy dawnych czasów.

Nie omieszkano też zaopiekować się młodzieżą polską. Następuje masowe zawiązywanie się rozmaitych kółek organizacyjnych wśród akademików polskich na terenie Petersburga, Kijowa i Warszawy. Początek powstawania tych kółek zbiegł się dziwnie z datą przyjazdu do Polski (1860 r.) jednego z sekretarzy Jakóba Cremieux, krzątającego się wówczas koło zorganizowania „*Alliance Israelite Universelle*”. Tym wysłannikiem był znany z pobytu Mickiewicza nad Bosforem, neofita Armand Levy, redaktor „*Constitutionnel*” (głównego organu liberalnego żydostwa paryskiego), propagującego myśl przewrotu społecznego w Rosji.

Działalność tych komórek, złożonych przeważnie z ludzi dobranych zupełnie przypadkowo, w pierwszej swej fazie była bardzo słaba. Trzeba więc było jaknajprędzej dążyć do jej wzmocnienia. Tej roli podjęło się paru młodych i wpływowych działaczy neofickich, cieszących się popularnością wśród studentów i uczniów szkół średnich. Na plan pierwszy wysunął się wśród nich Karol Majewski, sekretarz Leopolda Kronenberga. Był on osobistością niezwykle wpływową w kołach konspiracyjnych, bożyszczem ufającej mu bezgranicznie młodzieży.

W 1860 roku Majewski posiadał największe wpływy wśród studentów, przewodniczył tajnemu „komitetowi akademickiemu” i wszedł do zarządu konspiracyjnego „stowarzyszenia uczniów szkoły sztuk pięknych i młodzieży miejskiej”. Sekundował mu dzielnie Maksymiljan Unszlicht, wchodzący w skład komitetu akademickiego (składającego się z trzech osób), działającego wśród akademików i uczniów. Został ponadto utworzony przez Majewskiego rodzaj komitetu ponadpartyjnego, (do którego wchodził również Edward Jürgens, syn żydówki), kierującego wszystkiemi kółkami i stowarzyszeniami młodzieży o charakterze politycznym, powstającemi wówczas w Warszawie.

Przystąpiono też do pracy nad urobieniem starszego pokolenia. Powołano mianowicie do życia w 1859 r. komitet, w którego skład weszli:

Jürgens, zaufany jego Henryk Wohl, Natansonowie, neofita adwokat Andrzej Wolf, frankista inż. Stanisław Jarmund i inni. Stał się on z czasem zawiązkiem organizacji Czerwonych, prącej do walki zbrojnej z Rosją. Niedarmo bowiem Leopold Kronenberg pisał w liście z dn. 18.I.1860 r., że „sprawa żydowska nie jest najpierwszą i są inne daleko ważniejsze". Tą rzeczą ważniejszą dla przewódcy żydostwa polskiego było zapewne rzucenie „gojów" do beznadziejnej walki z zaborcą. Przygotowaniem do tego miały być wielkie manifestacje, których głównymi reżyserami byli mechesi, grupujący się około Jürgensa i Majewskiego.

Program agitatorów, (których liczne rzesze włóczyły się w oczekiwaniu wypadków po bruku Warszawy), potępiający politykę, dążącą do uzyskania najkorzystniejszych nawet dla kraju reform, napotkał na stanowczy opór ze strony Andrzeja Zamoyskiego, prezesa „Towarzystwa Rolniczego". Uważał on, że drogą spisków nic się nie wywalczy. Dążenie do powstania nazywał zbrodnią, która doprowadzi do ruiny rezultaty pracy cichej, prowadzonej z takim mozołem przez lat trzydzieści. Około Zamoyskiego skupiał się żywioł umiarkowany, który uważał, że trzeba poprzeć „Towarzystwo Rolnicze", pracować powoli i bez rozgłosu, może długo, ale pewnie, by dojść wkońcu do tego, że Polska, jak owoc dojrzały, sama odpadnie od rosyjskiego drzewa. Politycy polscy, grupujący się około Zamoyskiego, uważali, że powstanie, które nie będzie w stanie zwyciężyć, spotęguje tylko w Moskwie nienawiść do Polski. Nawet „Strażnica", pismo wychodzące tajnie w r. 1861 — 1863, doradzała poczekać z rozpoczęciem walki zbrojnej. Stanowisko „Strażnicy" popierali: Rafał Krajewski, stracony przez Moskali wraz z Trauguttem, i sybirak A. Giller, wybitny działacz powstańczy, który pisał („Historja powstania narodu polskiego", t. II, str. 56), że „gdyby z wybuchem powstania czekać umiano, doczekalibyśmy się wkrótce rozstroju i rozkładu Moskwy, któryby ułatwił nam wojnę". Opinję działaczy polskich podzielał rewolucjonista rosyjski Hercen, w którego odezwie do oficerów armji carskiej (z dn. 15.XI.1862 r.) czytamy, że „przedwczesny wybuch w Polsce nietylko jej nie oswobodzi, ale was zgubi i niezawodnie zahamuje rozwój naszej sprawy rosyjskiej".

Nic więc dziwnego, że do działalności „Tow. Roln." odnosił się bardzo nieprzychylnie Leopold Kronenberg. Dzięki niemu przygotowany został ostry artykuł przeciwko „Tow. Roln.", który miał być umieszczony w „Gaz. Polskiej"; w ostatniej chwili jednak wstrzymano drukowanie tego artykułu, zresztą bez wiedzy Kronenberga.

W swojej nienawiści do „Tow. Roln." dziwnie zgodny był Kronenberg z grupą generałów rosyjskich, przeważnie niemieckiego pochodzenia, na której czele stał Kotzebue. Kamaryla wojskowa zwalczała zacięcie działalność „Tow. Roln.". Kotzebue zwrócił nawet uwagę namiestnika Gorczakowa na licznie tworzące się komitety i delegacje Towarzystwa i ożywiony udział jego członków w rozmaitych konkursach i próbach rolnych. Gorczakow polecił wysłać odpowiednie zarządzenie do Zamoyskiego, zabraniające działania w poszczególnych komitetach. Członkowie Towarzystwa mogli działać tylko wspólnie. Było to poważnym ciosem dla Zamoyskiego. Prosił on jednak członków Towarzystwa o wytrwanie. Czy wyłącznem źródłem poczynań Niemca Kotzebue'go była przedewszystkiem jego rasowa nienawiść do Polaków, nie wiadomo.

Faktem jest jednak, że poszczególni generałowie rosyjscy byli na żołdzie żydowskim, o czem wyraźnie pisze Mikołaj Berg w swojej pracy p. t. „Zapiski o powstaniu polskiem", t. II, str. 114.

Czułą opieką otoczyli pozatem żydzi wielkorządców rosyjskich w Warszawie. Gdy po śmierci Paskiewicza mianowany został namiestnikiem Królestwa stary i mało energiczny ks. Gorczakow, wysunął się na czoło kamaryli cywilnej, grupującej się na zamku królewskim, Juljusz Enoch.

(Dok. n.) STANISŁAW DIDIER

PUBLICYSTA POWIEŚCIOPISARZEM

SĄ KSIĄŻKI, które choć nie są żadnem wydarzeniem w literaturze, ani jakąś epoką w piśmiennictwie — zasługują jednak na coś więcej niż recenzję i których samą recenzją zbyć nie można. Takie są właśnie „Więzy" Pannenkowej, — powieść, jakich tysiące, ale ciekawa dla pewnych specjalnych warunków jej powstania, jest to bowiem powieść, napisana przez publicystkę, która pisząc już lat bezmała 30, po raz pierwszy spróbowała wypowiedzieć się w tej właśnie formie[1]). Nie jest więc to ani debiut, ani próba talentu pisarskiego, którego wartość jest uznana, ale próba pisania odmiennie, inaczej, niż zwykle. Rodzi się więc ciekawe pytanie: czy publicysta może być powieściopisarzem, czy oba rodzaje talentów pisarskich są wymienne?

Dla tej kwestji warto pomówić o „Więzach".

[1]) Dla ścisłości dodam jeszcze, że w r. 1914 p. Pannenkowa wydała dramat o „Łukasińskim", zresztą ten dramat i „Więzy"— to jedyne literackie pozycje w jej pokaźnym dorobku.

Pierwszą część tego pytania można zbyć krótko; wystarczy powołać się na Prusa, tego publicystę, piszącego wspaniałe powieści, za to druga stanowi rdzeń zagadnienia, bo skoro oba rodzaje talentów pisarskich są różne i wymagają innej manjery pisarskiej — to tem samem publicyści, piszący powieści, wnoszą do literatury jakieś nowe pierwiastki, a mamy też również i drugą stronę medalu: poetów piszących artykuły i te nowe pierwiastki, jakie oni znów tam wszczepiają.

Co to jest publicystyka, dlaczego się różni od literatury? — to jeszcze jedno pytanie, które się narzuca. Sądzę, że dobrze odpowiem, gdy określę publicystykę jako sztukę pisania możliwie jasno i krótko o zagadnieniach społecznych na użytek chwili bieżącej; — cel jej jest utylitarny, środkiem obserwacja, tematem nie człowiek sam, ale społeczeństwo. A literatura? — ona w takim razie będzie polegała na pisaniu, możliwie pięknem, o człowieku, w zupełnem oderwaniu od jakiegokolwiek utylitaryzmu. Cel więc literatury będzie

emocjonalny, tematem człowiek z jego życiem wewnętrznem przedewszystkiem, środkiem, jak w publicystyce, obserwacja, choć obok niej, a może nawet nad nią, stanie fantazja, w publicystyce wyłączona. Różnice są więc znaczne i publicysta, sięgający po laury literackie, wnosi zwykle do swoich powieści zmysł społeczny i skłonność do tendencji, a nawet gdy stara się jej uniknąć, to jednak zawsze wnosi do literatury swój styl i typ pisarski całkiem odrębny.

Tak właśnie jest z Pannenkową, — w swojej powieści, choć chce być tylko literatką, choć wyrzeka się tendencji — jednak zostaje nadal publicystką i jej starannie napisana powieść, o ile chodzi o momenty nawskroś artystyczne, całkowicie zawodzi, mimo, że nie zawodzi nigdy rutyna pisarska, dobry styl i umiejętność konstrukcji.

Szczególnie ostro widać to w dwu świetnie pomyślanych rozdziałach, dwu przełomowych dla bohaterki „Więzów", Krysi Olskiej, rozmowach z Janem. Pierwsza, zaczynająca ich grę miłosną — ten „jaskółczy niepokój", tak umiejętnie skonstruowany z tym arcypoetycznym, nastrojowym tytułem, z upalnym zenitem lata, parkiem, tchnącym poezją wiejskiego wieczoru, odurzającą wonią nikocjanów, — wszystko to pierwszorzędne akcesorja, coś jak tło i pomysł jakiejś prześlicznej noweli, wsuniętej w większą całość... — ale piękne tylko w zamiarze, w wykonaniu nic z tego nie wychodzi, — wyobraźnią odczuwamy całe niewykorzystanie tej cudnej scenerji, jej zmarnowanie zarówno w opisie, jak w akcji, — nastrój ginie, a bohater zamiast wyznań miłosnych wypowiada rozprawę o małżeństwie. Nie mamy mu tego za złe, bo tak bywa i człowiek często marnuje chwile, ale autorka nie powinna marnować nastroju, który sama sobie tak starannie obmyśliła. A teraz druga rozmowa — jest wiosna, sady kwitną, jest znowu wieczór, ale kwietniowy, przez okno widać Lwów — wieże jego kościołów i jego ogrody, — wyobraźnia znów wyczuwa ten nastrój i znowu chce noweli na miarę Żeromskiego, ale zamiast tego rozkochany bohater otwiera usta tylko po to, by wypowiedzieć teoretyczną rozprawkę o wolnej miłości. *Fiasco* zupełne. Ta powieść jest dziwnie oschła, a dlaczego? — bo publicystyka domaga się rzeczowości i umiaru, wiosną i miłością nie zajmuje się wcale lub, co jeszcze gorzej, analizuje je na chłodno, a więc przeważnie fałszywie.

O ile jednak rutyna publicystyczna w dziedzinie nastroju i uczucia, a także odczucia (np. natury) całkowicie zawodzi i tem samem dyskwalifikuje pisaną w tym duchu powieść, to właściwy jej zmysł społeczny jest w literaturze elementem nawskroś dodatnim, byle tylko pisarz dostrzegł i człowieka, bo o niego przecież w powieści chodzi; o ile on swoją powieść „przespołeczni", że tak powiem, to i tu odmienna aura publicystyki da się literaturze we znaki. Zobaczmy to sobie na „Więzach".

Wojna, jej wszystkie problemy, orjentacje, to co nazwałbym gazetą tych czasów, jest w „Więzach" świetne, ale sami ludzie dziwnie bladzi, — nie ci uboczni, bo tych się tylko szkicuje i dla nich wystarczy tylko sylweta, nieraz doskonała (Piwkowa, ciotka Klara, Malewicz), ale ci główni: Jan, Krysia, Marja. Ci, wyjąwszy jedną może Krysię, zupełnie zawodzą, to wycinanki z papieru. Tylko Krysia ma nieco wyraźniejszy charakter, jakieś dostrzegalne dla nas walki duchowe, jakieś przełomy i przeżycia, które są w stanie przynajmniej troszeczkę nas poruszyć, — innymi się już nic a nic nie przejmujemy i są oni dla nas dziwnie nieprzekonywający, bladzi i niewyraźni. Kuleje więc powieść i gdyby nie wojna, będąca istotną jej treścią, bardzoby kiepsko wyglądała.

A styl? — Ten jest dobry, może nawet doskonały, ale we wszystkich bardziej literackich miejscach stale zawodzi. Wróćmy znowu do tych dwu scen miłosnych, one są chybione przedewszystkiem dlatego, że nastrojową atmosferę autorka opisała całkiem nienastrojowo, tak, jak staranny dramaturg opisuje dekorację sceny, mającą służyć za tło rozwiniętej przez niego akcji. Ale w powieści akcja się wiąże z tłem i wszystko jest tu dziełem autora, on tu jest także i reżyserem i dekoratorem, a zresztą bodaj że opis dekoracji do „Wesela" jest bardziej nastrojowy od niejednej karty powieściowej, nietylko w „Więzach".

Jasne więc jest, że publicysta, mający tylko talent publicystyczny, może wprawdzie napisać powieść poprawną, ale dobrej nigdy nie potrafi.

Ale rozpatrzmy sobie problem do końca i dajmy „Więzom" pokój; — zobaczmy jak Prus, pisarz rzadkiej wielkości, tworzył literaturę, będąc publicystą, czy i jego świetnym powieściom czegoś tu nie brakuje? Wprawdzie u niego czynnik społeczny jest tylko jeszcze jednym walorem i nie „przespołecznia" on swych powieści, malując charaktery tak umiejętnie, jak niewielu z poetów, ale i on, mimo wszystko, ze względu na genjalny, ale odmienny czystej literaturze charakter swego talentu ma tu pewne, choćby maleńkie braki. I on nie odczuwa natury (w swoich powieściach mało o niej pisze — ale to lepsze od wprowadzania jej do kart książki na upartego) i on nie potrafi być piewcą nastroju, a choć czasem da coś w tym rodzaju, to jakże to słabe przy takim Żeromskim. Można więc chyba śmiało powiedzieć, że nawet u najgenjalniej piszącego powieści publicysty ich strona czysto emocjonalna będzie zawsze trochę szwankowała. I tu jest pewien dramat, — publicysta lubi wyrażać się krótko, on coś rzutuje, coś streszcza, — najwięcej przeto w literaturze odpowiadałaby mu forma noweli, ale znowu ta forma żąda nastroju, bez nastroju niema noweli, może być tylko jakieś opowiadanie, a nastrój (w sensie literackim, bo w sensie publicystycznym artykuł może w czytelniku zostawić nastrój) jest właśnie tą rzeczą, którą najtrudniej publicyście wywołać,— musi więc tu pisać powieści, choć ich konstrukcja jest inna, a długość męczy pióro przyzwyczajone do pracy szybkiej, szarpanej.

A jak znowu radzą sobie poeci w publicystyce? — Na to najlepszą odpowiedzią Mickiewicz i jego „Trybuna ludów", on będzie tem w publicystyce, czem Prus w literaturze. Jego wady, to typowe wady literackie — nazbyt już może piękny styl, pewna skłonność do patosu, do rozlewności... Przykładem ujemnym będzie Żeromski, którego publicystyka, chaotyczna i uczuciowa, jest chyba wzorem, jak nie należy pisać takich rzeczy i jak argumentując nie dojdzie się do niczego. Więc choć mogą się znaleźć twórcy genjalni, piszący świetnie i powieści i rozprawy, naogół są to dwie odmienne gałęzie pisarstwa, z których jedna słucha przedewszystkiem serca, a druga rozumu.

KAROL STEFAN FRYCZ

NA WIDOWNI

Nieustalona pisownia.—Magazyn mód czy Akademja?—Projektowana rewolucja. — Nowa przepaść między teraźniejszością a przeszłością. — Dziennik jako „pomoc naukowa". — Dlaczego przeszkadzają?

GDY PRZED LATY dwudziestu kilku zaczynałem uczyć się abecadła, były w Polsce w użyciu trzy pisownie: Akademji Umiejętności czyli „krakowska", prof. A. A. Kryńskiego czyli „warszawska", wreszcie różna od nich obu — Zjazdu Rejowskiego. Później, raz po raz, w latach wojny i w latach pokoju, w dobie niewoli i po odzyskaniu niepodległości, naradzano się i ogłaszano uchwały w sprawie „ujednostajnienia", ustalając reformowane ustawicznie prawidła i zalecając je jako „jedynie odtąd obowiązujące". Społeczeństwo przyzwyczaiło się, iż jak słynni krawcy paryscy mody damskie, tak nam językoznawcy przygotowują coraz nowe „kreacje" w zakresie ortografji: „*Dernier cri!* Sezon 1935! Najświeższy, rewelacyjny model wiosenny—firmy Akademja!.."

Najwięcej pomysłowości okazywano w zmianach kroju falbanki, *pardon!...* końcówki w szóstym przypadku liczby pojedyńczej i mnogiej w deklinacji przymiotników: raz „nosiło się" tylko „—ym", „—ymi", albo tylko „—em", „—emi", innym razem bardziej podobało się połączenie obu tych zakończeń, czy to zależnie od różnicy rodzajów (męski, żeński, nijaki), czy też, naodwrót, stosując się do brzmienia wyrazu w mianowniku.

Obecnie wszakże, jak głoszą wieści, zanosi się na coś znacznie sensacyjniejszego, mają zaprezentować nam odmienne całkiem, nigdy jeszcze nie widywane dotychczas fasony: szepce się o zastąpieniu „rz" przez „ż", i „ó" przez „u", zaś zamianę „ch" na „h" zapowiadają już zupełnie na serjo, jako budzącą „najmniejszy opór" pośród radzących nad zagadnieniami temi członków komitetu ortograficznego. W „Gazecie Polskiej" p. Juljusz Kaden-Bandrowski głośno domaga się „zbliżenia pisowni do poziomu szerokich mas" i wprowadzenia „prostych i zwartych reform demokratycznych, reform mających ogół piszącego prostego narodu na względzie." Trzebaż „prostemu narodowi" dać jakieś odszkodowanie za odsunięcie go od wpływu na bieg spraw politycznych przez przygotowywaną właśnie zmianę konstytucji...

Wydaje mi się, iż w rozpoczętej polemice około tej sprawy niedostatecznie dotąd wysunięto jedną stronę kwestji, gdzie—jak uważam—znajduje się jej punkt najważniejszy. Chodzi tu o to, czy pragniemy zbliżyć się z dorobkiem duchowym dawnej Polski, czy dziedzictwo to jest dla nas czemś żywem i drogiem, czy chcielibyśmy je mieć jaknajłatwiej dostępne dla najszerszych rzesz i dla narastających, młodych pokoleń, czy też, przeciwnie, gotowiśmy odseparować się od przeszłości narodowej, nie widzimy w niej nic interesującego i cennego, a wobec tego mało obchodzi nas trudność w odcyfrowaniu języka, którym spisany jest testament naszych ojców.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że odmienność ortografji jest jedną z poważniejszych przeszkód, utrudniających nam obcowanie z najstarszemi zabytkami piśmiennictwa polskiego. Można powiedzieć śmiało, iż na przestrzeni stuleci dźwięki mowy polskiej mniej przekształciły się, niż sposoby oznaczania ich przy pomocy liter, i przeciętny inteligent dzisiejszy, gdyby cudem znalazł się wśród słuchaczów Kazań Świętokrzyskich, zupełnie łatwo rozumiałby niezawodnie wyrazy i zdania, których teraz, bez pomocy specjalisty, odczytać nie potrafi. Przytoczmy tu choćby, dla przykładu, jakikolwiek urywek z rękopisu z XV stulecia, z Biblji Królowej Zofji: „Y rzekl bog, bodz szwyatlo, y stworzono szwyatloszcz, avszrzal bog szwyatloszcz ysze gest dobra yrozdzelyl szwyatloszcz ode czmi y nazwal jest szwyatloszcz dnyem"... O ileż zrozumialsze będzie, gdy odczytamy to tak, jaki wówczas czytać musiano: „I rzekł Bóg: bądź światło, i stworzona światłość. A uźrzał Bóg światłość iże jest dobra, i rozdzielił światłość ode ćmy i nazwał jest światłość dniem..."

Nawet później znacznie, w dobie książki drukowanej, wymieniona trudność nie znika, i gdy ujrzymy tekst: „Rozmowy, które myał Krol Salomon mądry zmarchołtem grubym a sprośnym, à wssakoż iako o ńyem powyedáią barzo zwymownym"—pierwszem wrażeniem, jakie odniesiemy, będzie wrażenie groteski, odruchowo bowiem, z przyzwyczajenia, czytać zechcemy literę każdą według prawideł dzisiejszych, a wynikający stąd efekt śmieszności w niemałej mierze przyczynić się musi do zwiększenia poczucia dystansu, jaki dzieli teraźniejszość od wieków minionych. (Naodwrót, konserwatyzm w dziedzinie ortografji, znamienny dla narodów zachodnio-europejskich, może sprawić niekiedy i taki skutek, iż pozwala czytać jak rzecz współczesną utwory autorów dawnych, chociaż wymowa poszczególnych wyrazów stopniowo ulegała zmianie, a nietknięta pozostała właśnie tylko ich pisownia).

Otóż wszelka rewolucja ortograficzna (jak zniesienie „ch", „rz", „ó" i t. d.) musi mieć nieuchronnie to następstwo, iż każda rzecz, pisana i drukowana przed tym przewrotem, z konieczności—dla ogółu czytelników — nabierze cech antykwarskich, stanie się czemś poprostu dziwacznem, nie zawsze nawet zrozumiałem, czemś, na co spogląda się z pewnego oddalenia, czemś zabytkowem. Oczywiście, pewna ilość utworów klasycznych, najsławniejszych arcydzieł będzie ukazywała się w nowych wydaniach i w nowej pisowni, ale jakiż to niewielki odsetek całości! I czy warto tak składać do lamusa, już nie Skargów i Kochanowskich tylko, ale Sienkiewiczów, Prusów, Wyspiańskich, aby na oczyszczonym w ten sposób terenie zacząć na nowo—od Kadena-Bandrowskiego i Rygier-Nałkowskiej?..

*

Przed kilku dniami „Gazeta Warszawska" (nr. 51 z dn. 16 b. m.) zanotowała ze zgorszeniem, iż w gimnazjum PP. Kanoniczek w Lublinie władze szkolne nakazują uczenicom kupować jeden z dzienników „sanacyjnych", uznawszy go za „pomoc naukową", niezbędną podczas wykładów literatury. Nie zamierzam oceniać wartości tego dziennika. Mam na myśli sprawę znacznie ogólniejszą, zasadniczą, ów — mianowicie — osobliwy system pedagogiczny, który dziś każe, w imię „aktualizacji", zastępować podręczniki szkolne prasą codzienną, który wciąż zwraca umysł wychowańca ku „współczesności", czy to w programie nauki, czy w urządzaniu uroczystości i obcho-

dów, w całej wogóle tendencji dzisiejszych władz oświatowych. Czyż nie orjentujemy się, jak pokaźna część warstwy inteligenckiej w Polsce ma za jedyną lekturę — gazetę, a wiedza ich, jaką mają o dawnych dziejach naszych i piśmiennictwie, ogranicza się, niemal wyłącznie, do okruchów wiadomości, zachowanych przypadkowo w pamięci jeszcze z tych czasów, gdy uczyli się o owych rzeczach w szkole średniej? Czyż dziś i tego nawet zostaną pozbawieni, od początku zapoznawani tylko — z chwilą bieżącą?

Wskutek niewoli, która przerwała ciągłość mnóstwa instytucyj, jakie gdzieindziej stanowią naturalny łącznik teraźniejszości z przeszłością; wskutek fałszywych, pod wpływem niewoli wytworzonych poglądów na historję dawnej Rzplitej, jesteśmy—jak żaden chyba wielki naród w Europie—oddaleni od własnych przodków, nie rozumiemy ich, nie współżyjemy duchowo z ich dziedzictwem. Przejawia się to chociażby w łatwości, z jaką poddajemy się różnym modnym „ideologjom" zagranicznym, najrozmaitszym „izmom", nie oparci dostatecznie mocno o naszą własną tradycję i wypływające z niej własne gusty, poglądy, dążenia. Na szczęście, zaczynamy już spostrzegać źródło tej słabości, nawiązywać potargane nici. Czemuż językoznawcy, literaci, pedagogowie wysilają wprost swoje mózgi nad tem, jakby w tej pracy najskuteczniej narodowi przeszkodzić?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

Z USTALENIEM SIĘ RZĄDÓW AUTORYTATYWNYCH zmniejszyła się bardzo w naszem życiu publicznem rola autorytetu. Jak większość zmian w tem życiu, i ta nie została zauważona przez prasę. Idea rządów autorytatywnych cieszy się przecie wciąż nienadwątlonem uznaniem nawet u walczących ze sobą obozów politycznych. Nie jest to przytem idea niewypróbowana. Wiadomo, cośmy zyskali, wcieliwszy ją w życie. Zalety rządów autorytatywnych stały się już dostatecznie znane. Warto się więc także zastanowić, cośmy stracili przez upadek autorytetów. Na czemże on polega? Przedewszystkiem, co rozumiemy przez autorytet osobisty? Wpływ, oparty na wartościach osoby, więc np. na zaufaniu do jej powagi moralnej, do wiedzy, doświadczenia, do siły intelektu, zdolności kierowniczych i t. d. Jest rzeczą niezaprzeczalną chyba, że dziś ten czynnik powagi osobistej wykreślony został z rachunku i popadł w lekceważenie. Jedyny autorytet, mający znaczenie, to autorytet zajmowanego w danej chwili stanowiska oficjalnego. Autorytety moralne stały się niepotrzebne, skoro zastąpił je kompletnie jeden ogólny autorytet siły. Nikt nie wymaga od kierowników powagi osobistej, ani nie oczekuje, aby zdanie ich cośkolwiek ważyło rozsądkiem czy głębszą znajomością rzeczy, gdy staje się poprostu ich zdaniem prywatnem.

Wynurzenia ich i przestrogi dla społeczeństwa nikogo jużby wtedy nie obchodziły; jakoż nie dają się słyszeć. Byli ministrowie spraw zagranicznych nie dzielą się z opinją swem ważkiem zdaniem o sytuacji w Europie; byli ministrowie skarbu wolą się nie kompromitować oświecaniem społeczeństwa w sprawach gospodarczych. Zresztą „kompromitować" nie jest to dobre słowo: gdyż właśnie dlatego, że walory osobiste są w pogardzie, skompromitować się jest tak niezmiernie trudno. Ktożby się serjo dziwił, gdyby np. delegat polski po powrocie z Genewy nie umiał już więcej mówić językami obcemi? W dzisiejszych warunkach życia publicznego autorytet osobisty nie prowadzi do stanowiska; dobór kierowników dokonywa się w inny sposób. W tem tkwi jeszcze jedna przyczyna pogardy dla autorytetu moralnego i jego bezużyteczność. Zorjentowano się w tem szybko. Żyjemy przecież w okresie rządów autorytatywnych. Wysnuto stąd wnioski praktyczne.

DYSKUSJA O KULTURZE

WYDARZYŁ SIĘ Atak na kulturę ze strony „Myśli Narodowej" w artykule p. Z. Wasilewskiego pod powyższym tytułem"—zawiadomiła czytelników „Pionu" p. C. Baudonin de Courtenay — Jędrzejowiczowa. Polemika była z paru względów interesująca. Przedewszystkiem zasadnicze znaczenie miała postawiona przez polemistkę alternatywa: Czy kultura „dorabia się człowieka", czy człowiek „buduje kulturę"? Przyznajmy, że w dylemacie, tak postawionym, b. sympatyczne jest nam woluntarystyczne stanowisko p. Jędrzejewiczowej. Ciekawe jednak, jak mimo tej zgody zasadniczej różnić się nam z nią przychodzi w dalszym ciągu. P. Jędrzejewiczowa z wahaniem podejmuje polemikę: ona jest specjalistką, publicysta „Myśli Narodowej" zagalopował się w mało sobie znany teren. Jeden zaś z jej kolegów, profesor U. W., wypowiedział oryginalne zdanie, „że wypady publicystów w mało im znane tereny pomija się milczeniem". Urzędowa specjalistka nie potraktowała jednak sprawy tak po akademicku — i z okazji polemiki podzieliła się pokrótce swemi poglądami z czytelnikiem. I właśnie interesującą stroną jej wywodów jest to, że ilustrują one jedną z charakterystycznych słabości akademickiej myśli. Tę samą, która sprawia, że profesor literatury, wykładający jej teorję, tak często nie umie odróżnić złego utworu od dobrego. P. Jędrzejowiczowa zgadza się z red. Wasilewskim, że wszystkie „działy wytworów z ducha" objęte są zakresem pojęcia kultury. Dodaje, że „wszystkie bez wyjątku wyniki twórczości ludzkiej są „z ducha". Wszystkie więc wyniki twórczości ludzkiej stanowią kulturę: „zarówno cep, jak samolot, symfonja Beethovena i gazy trujące, Boska Komedja i paszkwil oszczerczy"... W tem znaczeniu nie mogą ludzie nie robić kultury, ponieważ zawsze coś robią. Stale się robi, stale się tworzy, stale się „buduje" kulturę. I już jesteśmy o krok od usprawiedliwienia „budowy kultury" przez dzisiejsze nasze państwo.

Cenne teoretycznie odróżnienie automatyzmu od woluntaryzmu sprowadza się ostatecznie do zapewnienia, że zawsze Ministerstwo Oświaty „robi" kulturę... bo zawsze coś robi na tym odcinku, stosując przymus państwowy. Ale o tem, że podpisuje się tam okólniki, sen. Wasilewski też niezawodnie wiedział. Wiedzieliśmy o tem wszyscy przed rozpoczęciem dyskusji o kulturze. I właśnie nasunęło się pytanie: jaka jest wartość robót kulturalnych „centralnej woli"? Całe rozumowanie p.

Jędrzejewiczowej nie ułatwia bynajmniej znalezienia odpowiedzi na to pytanie. „Człowiek tworzy kulturę” — zgoda: ale kto jest kulturalniejszy: czy dostojnik, podpisujący okólniki, czy analfabeta, grający na fujarce? Niepokojący ten problemat, rozważany czasem przez publicystów, nie wchodzi już w zakres badań urzędowych specjalistów od kultury. Ci trzymają się na dystansie. Pięknie. Ale kto bliższy jest aktualnych zagadnień naszego życia kulturalnego: czy sen. Wasilewski, alarmujący, czy p. Jedrzejewiczowa, uspokajająca, że cokolwiek robi Ministerstwo W.R. i O.P., nieuchronnie „tworzy” ono kulturę?... W związku z tem mówi woluntarystka o skuteczności przymusu państwowego. Ale co wart ten przymus? Z wywodów końcowych p. Jędrzejewiczowej przebijać się zdaje optymistyczny pogląd, ża im „wola” bardziej „centralna”, tem *ipso facto* kulturalniejsza. Optymizm ten jednak nie udzieli się tym, co mniemają, że od „centralnej woli” kulturalnej niemniej skutecznie działać może centralne barbarzyństwo. Dla uzasadnienia optymizmu cytuje polemistka zbawienny wpływ państwa na kulturę muzyczną... Poziom kultury muzycznej „bez wszelkiego przymusu” może być i bywa niższy od poziomu tej kultury, gdzie działa planowo jakaś „wola centralna”. Z równą przynajmniej słusznością mógłby pesymista zauważyć, że poziom ten może być w tych warunkach także wyższy. Ale w zasadzie zastrzega się p. Jędrzejewiczowa przeciw wartościowaniu. Nie rozstrzyga, co obniża, co podnosi kulturę. Nie wybiera „punktu widzenia”. Skąd zatem wie, że wydarzył się w „Myśli Narodowej” atak na kulturę? Jedna to więcej charakterystyczna niekonsekwencja. Nie wydaje nam się więc, aby myśl urzędowej specjalistki pracowała wyraźnie precyzyjniej od myśli publicysty. Główna różnica pomiędzy sen. Wasilewskim, a p. Jedrzejewiczową polega na wartościowaniu — konsekwentnem i niekonsekwentnem, i na operowaniu pojęciem kultury o różnym zakresie. Dla pierwszego kultura — to człowieczeństwo, dla drugiej — to wszystko to, co człowiek — lub rząd — robi. Stąd różne też zapatrywania na „budowę kultury”. Pierwszemu równie trudno mówić o budowie kultury, jak o „budowie człowieczeństwa”, drugiej — równie łatwo, jak o „budowie zdania” — które, z tego stanowiska nie przestaje być „budową” także wtedy, gdy jest niegramatyczne.

NAUKA i LITERATURA

FERDYNAND HOESICK O JULJANIE KLACZCE

TOM IX-y pism zbiorowych F. Hoesicka składa się z jego większych i mniejszych studjów, poświęconych Juljanowi Klaczce. („Juljan Klaczko”. Życie i prace. Str. 471. Warszawa, 1935 r. Wyd. Trzaska, Ewert i Michalski).

Jest to, jak słusznie powiada sam autor, coś w rodzaju „informacyjnego podręcznika” o życiu i pracach J. Klaczki, zwłaszcza dla tych, co dziś o nim zaledwie słyszeli. Pozatem jest to hołd, złożony znakomitemu pisarzowi przez jednego z jego najbardziej gorących wielbicieli. W wyrazie tego hołdu jest sporo myśli słusznych i sądów uzasadnionych, razi w nim jednak bałwochwalczy zachwyt nad Klaczką, człowiekiem i pisarzem. Wszystko, co Klaczko robił, co mówił i jak pisał, w oczach wielbiącego Hoesicka, staje się czemś niedościgłem dla wielkich i największych (nawet!) pisarzy jego czasów, nietylko polskich, lecz i obcych.

Klaczko — po polsku pisał jak Skarga, po niemiecku — świetniej od Gervinusa, po francusku — tak, że mu Francuzi zazdroszczą jego francuszczyzny... (str. 352); przed Klaczką drżał po roku 1870 sam Bismarck... Książka Klaczki „*Rome et la Renaissance*” — jest, kto wie, czy nie najpiękniejszą ze wszystkich, jakie wogóle napisano o sztuce Odrodzenia we Włoszech... (str. 154).

Klaczko, jako polemista, nie ma sobie równych, jako pisarz polityczny — pozostawia w tyle za sobą najbardziej przenikliwych i przewidujących...

A już o tem, że jest on „genjalnym współpracownikiem” „*Revue des deux Mondes*”, przypomina Hoesick czytelnikowi swej książki niemal co chwila, jakby rozkoszując się samem brzmieniem słowa „genjalny” — w odniesieniu do swego bożyszcza.

Mógłby ktoś powiedzieć, że Hoesick przesadza, jest to jednak tylko jego niezłomna wiara w to, iż z głowy Klaczki wszystko wychodziło w formie tak doskonałej i tak wyjątkowej, że równać się z nim nikt nie może.

Wprawdzie te wszystkie superlatywy na cześć Klaczki odziedziczył Hoesick po swoim „mistrzu” — Stanisławie Tarnowskim, prześcignął go jednak pod względem bezapelacyjności sądów i bezkrytyczności podziwu dla „genjalnego” współpracownika „*Revue des deux Mondes*”. W ekstazie podziwu i uwielbienia nie dziw, iż Hoesick nie wątpi ani na chwilę, że to, co mówi o Klaczce, jest oczywistą prawdą, czemś, co jest w zupełnej harmonji z rzeczywistością. Olśniony i oślepiony, nie spostrzega, że przedmiot kultu, w jego przedstawieniu, wygląda nieco karykaturalnie.

Pomijamy już to, że język Klaczki różni się głęboko od języka Skargi (z jednej strony: prostota i siła, z drugiej — literacka ozdobność i wysiłek), ale np. kto to z głośniejszych pisarzy francuskich — bo przecież o nich chyba chodzi — mógł zazdrościć Klaczce jego francuszczyzny?

Sądzę, że nie byli to tacy, jak Sainte-Beuve, Michelet, Merimée, T. Gautier, wreszcie Renan i H. Taine, t. j. ci, co patrzyli na pierwsze wystąpienia Klaczki w pismach francuskich; nie byli to również późniejsi znakomici styliści: A. France, Lemaitre, M. Barrès, Ch. Maurras i t. p., którzy mogli znać Klaczkę już jako cieszącego się wielkiem uznaniem w świecie literackim Paryża, współpracownika „*Revue des deux Mondes*”.

Więc kto mu „zazdrościł” tej świetnej, jak na cudzoziemca, francuszczyzny? — to już jest tajemnicą, olśnionego nią F. Hoesicka.

Że Bismarck mógł się wściekać ze złości, czytając znakomite w istocie studja polityczne Klaczki, odsłaniające jego zamiary, to jest jasne, żeby jednak aż „drżał” przed Klaczką, — to jest cokolwiek śmieszne...

Więc niby nie ucierpiała sława Klaczki, jako pisarza nie byłaby mniejsza jego zasługa, gdyby Hoesick mniej zużywał kadzidła na okadzanie swego bożyszcza. Ale w tem bieda, że gdy on kogoś, po swojemu, ukocha i uwielbi, to już tem kadzidłem da się takiemu we znaki. Coprawda, on sam się niem odurza do tego stopnia, że o równowadze sądu oraz trafności oceny, nie może być mowy. Do tego zresztą trzeba mieć nadto i wiedzę odpowiednią, a właśnie, w tym wypadku, F. Hoesick mało był powołany do należytej oceny Klaczki jako pisarza politycznego i jako autora pięknych studjów dantejskich oraz dotyczących sztuki Odrodzenia („Wieczory Florenckie“ i t. p. i „Rzym i Odrodzenie”). F. Hoesick nie posiadał własnego sądu, opartego na studjach przedmiotu, o Dantem np., ani o Michale Aniele i epoce Odrodzenia, mógł więc tylko, zachwycony świetnością wywodów Klaczki, przyznawać im we wszystkiem słuszność i uwierzyć w ich bezbłędność, w to, że tu nic niema do dodania, ani do odrzucenia, że to jest powiedziane — raz na zawsze. Wobec takiego konsekwentnego, bo wypływającego z kultu Klaczki, stanowiska Hoesicka, wszelka dyskusja z nim w tej mierze byłaby bezcelowa. Na tem stanowisku utrzymuje się wciąż

autor książki o „życiu i pracach” J. Klaczki: w jednem i w drugiem — widzi samą wielkość i niezwykłość.

W tym pietyzmie F. Hoesicka dla Klaczki jest, nie przeczę, coś sympatycznego, jest jakieś bezinteresowne oddanie się sprawie, jest chęć godziwa przekonania innych, że człowiek, będący przedmiotem jego czci, zasługuje ze wszechmiar na cześć ogólną, na wdzięczną pamięć potomnych.

W. J.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W roku 1935-ym przypada dwusetna rocznica urodzin Ignacego Krasickiego, największego po Janie Kochanowskim poety dawnej Rzeczypospolitej. Lwów, jako stolica Ziem południowo-wschodnich, które wydały autora „Bajek i Satyr”, postanowił uczcić jego pamięć Zjazdem naukowym. Staraniem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oraz Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza zawiązał się Komitet organizacyjny Zjazdu. Na zebraniu konstytuującem, odbytem dnia 20-go grudnia 1934 r., ustalono termin Zjazdu, który będzie obradował we Lwowie w czasie Zielonych Świątek, t. j. w dn. 9 i 10 czerwca 1935 r.

Prace Zjazdu rozwiną się w trzech sekcjach: 1) Ignacy Krasicki i jego epoka, 2) literatura i kultura Ziem południowo-wschodnich, 3) teorja i metodyka badań literackich. Dla członków Zjazdu obowiązuje wkładka w kwocie 10 zł., dla hospitantów 3 zł.

Prezesem Komitetu organizacyjnego wybrano Kuratora Ossolineum, ks. Andrzeja Lubomirskiego, wiceprezesami prof. dr. Juljusza Kleinera i dyr. dr. Ludwika Bernackiego, sekretarzami: doc. dr. Mieczysława Piszczkowskiego i dr. Franciszka Pajączkowskiego.

Po wszelkie informacje należy zwracać się do Sekretarjatu Zjazdu, Lwów, Ossolineum, ul. Ossolińskich 2.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zakład narodowy im. Ossolińskich wydał już po raz drugi zwięzłe studjum prof. Antoniego Wereszczyńskiego p. t. „Państwo antyczne i jego renesansy”; to nowe wydanie uległo ze strony autora pewnej przeróbce, jeśli chodzi o końcowe rozdziały książki, tak, że zostały tu omówione i „tezy” p. Cara i dollfussowskie poczynania ustrojowe i czerwcowe mordy zwolenników Röhma w Niemczech. Autor charakteryzuje państwowość antyczną (do której włącza i despotje Wschodu) i bada, jak starożytna myśl państwowa odradzała się w organizmach państwowych naszego świata cywilizacyjnego. Brakiem jest tutaj przeprowadzenie tych porównań tylko w świecie zachodniej Europy, przy zupełnem pominięciu dawnej Polski, która przecież w pewnym sensie była również odbiciem antyku (może nawet o wiele więcej, niż policyjne państwo XVIII wieku) i na którą ustrój Rzymu walnie wpływał; — dość tu wspomnieć, że jednym z organizatorów demokracji szlacheckiej był „trybun” Zamoyski, kształcony w Padwie i lubiący nietylko mówić o Rzymianach, ale chcący także w nich widzieć wzór dla Polski.

To pominięcie polskiej państwowości w rozważaniach autora mści się szczególnie na konkluzjach ostatniego rozdziału (Przemiany państwowe w Polsce) i sprawia, że uwagi wypowiadane o „tezach” p. Cara wiszą nieco w powietrzu, a dziwacznie zgoła brzmi takie zdanie: „Niech powstanie oryginalny, swoisty ustrój państwowy polski, zastosowujący praktycznie klasyczny, wieczyście żywy wzór republiki rzymskiej”... (str. 268), — czyż Polska nie miała przez wieki takiego właśnie ustroju i czyż nie o nim należy raczej pomyśleć w przełomowych chwilach przebudowy? Polska przecież nie powstała w 1918 r. i nie od konstytucji marcowej zaczynają się „polskie przemiany państwowe”. Książka, omawiająca monarchję *ancien-régime*'u, mogłaby równie dobrze omówić i republikańską monarchję Polski, skoro oba te ustroje są narazie w życiu swoich narodów równie martwe, i obu położono kres gwałtowny, a oba miały w sobie coś antycznego. Trzeba jednak dodać, że autor nie szuka właściwie refleksów całego antyku, a tylko jednej z cech państwa antycznego — to jest silnej organizacji, silnej władzy, a w takim razie rzeczywiście ustrój polski pola obserwacji w tem badaniu nie stanowi. Tak samo stoi tu na uboczu średniowiecze, omówione wprawdzie, ale nazbyt sumarycznie.

Zato państwowość renesansu, absolutyzmu, a później liberalizmu omówiono szczegółowo, a charakterystyka państwa społecznego i państw „totalnych” (możeby lepiej było spolszczyć ten termin na „państwo całkowite”) świetna, zwłaszcza ostra krytyka tego ostatniego w pełni zasłużona. Jasny wykład i dar zwięzłego ujmowania rzeczy dopełniają wartościowej całości. (K. S. F.).

*

„Słowianie — my lubim sielanki”! mówi w „Dziadach” poeta warszawski, reprezentujący poglądy Brodzińskiego. Że lubimy sielanki, to może prawda, skoro nieraz tak sielankowo nastrojone bywają w tych ciężkich czasach artykuły pewnego odłamu prasy. Gust ten jest u nas nałogiem narodowym jeszcze od czasów wiersza Kochanowskiego: „Wsi spokojna, wsi wesoła”, który tak sparafrazował Wyspiański w „Weselu”.

Brodziński był nie tylko sielankopisarzem i propagatorem sielanki, ale i teoretykiem tego gatunku literackiego. Właśnie o „Brodzińskim—teoretyku sielanki „ogłosił zwięzłe i bystre studjum prof. H. Życzyński (Lublin, nakł. „Prądu”), który już dawniej uwagę baczną poświęcił charakterystyce poezji Brodzińskiego i jego poglądom estetycznym. Zajął się tu głównie rozprawą „O idylli pod względam moralnym” (1823), wykazując jej zależności od sądów estetycznych poety Jana Pawła Richtera, następnie zaś od rozprawy Schillera „O poezji naiwnej i sentymentalnej” i od „Pomysłów do filozofji dziejów” Herdera.

Jakież nauki praktyczne wyciągnął Brodziński, jako poeta, z rozważań na temat sielanki? W „Wiesławie”, który realizuje jego teorje, odbiegł pod względem formy od dialogowego typu sielanki klasycznej i czysto epicznej formy Goethego, mieszając partje opisowe, narracyjne, dramatyczne i liryczne, pod wzgl. treści zaś nie jest sielanką rokokową ani całkowicie klasyczną, lecz idealizującą, jak podany za wzór „Pan Podstoli”. (J. B.)

*

Albert Schwetzer. „Wśród czarnych na równiku“. Przekład z niemieckiego Z. Petersowej. Warszawa. Wydawnictwo Nowoczesne.

Książka (tłumaczona na 11 języków) niezmiernie ciekawa, nietylko przez swą egzotyczną treść, ale i przez silne, ideowe tchnienie. Pisana jest przez lekarza-alzatczyka, który w celach humanitarnych udał się na czarny ląd. Posłannictwo swoje pojmuje jako obowiązek europejczyka, bogatego w kulturę medyczną, wobec czarnych bliźnich, ginących bezradnie od najstraszniejszych chorób miejscowych oraz zaniesionych przez białych. Pełen ducha ewangelicznego opuszcza pracę naukową przy strasburskim uniwersytecie, studjuje medycynę afrykańską i jedzie na długie lata ofiarnej pracy... Zjawisko niecodzienne!

Książka obfituje w mnóstwo ciekawych szczegółów, spostrzeżeń, opisów. Daje nam możność poznania tego pierwotnego świata psychiki ludzkiej, wraz z jego wynaturzeniem: a więc ludożercy, niewolnicy, obłąkani, truciciele, fetysze...

Żywo jest opisane życie puszczy, jej zagadnienia społeczne.

Jako lekarz daje dr. Schweitzer najwięcej opisów chorób i braku higjeny u tubylczej ludności.

Jako ewangelik — daje obraz działalności misji protestanckiej, ale jest pełen szacunku i podziwu dla misjonarzy katolickich.

W zakończeniu—wzywa wszystkie szlachetne jednostki do współpracy z misjami i lekarzami, niosącymi pomoc czarnym nędzarzom.

Zewnętrzny wygląd książki — bardzo estetyczny. Wewnętrz dużo fotografij: miejscowości i tubylców, śród których zwraca uwagę dziecko, z brzuchem rozdętym w ogromną banię—przez puchlinę wodną.

Naogół — książka przejmująca, którą się czyta jednym tchem. (J. G.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W CIĄGU ostatnich dwu lat niespełna, IPS zorganizował szereg wystaw malarstwa obcego. A więc oglądaliśmy kolejno: sztukę sowiecką, belgijską i włoską. Nikłe światełko na plastykę innych narodów rzuciła także, choć źle urządzona, międzynarodowa wystawa plastyczek. Oczywiście do wytworzenia sobie, na tej podstawie, pełnego obrazu współczesnej twórczości plastycznej Europy bardzo jeszcze daleko. Nie da się on ukształtować bez udziału Niemiec, kraju, który nie uległ, w takim stopniu, jak inne, wpływom t. zw. „szkoły paryskiej”,

a nawet przeciwstawił tej szkole odmienne, wysunięte przez siebie wartości. Tem nie mniej, mając przed sobą tylko ułamek obrazu, a nie całość, mogliśmy jednak poczynić wiele użytecznych spostrzeżeń natury ogólniejszej, a one, ze swej strony, dawały okazję do wniosków, często sprzecznych z rozsiewanemi u nas chętnie opinjami.

Przedewszystkiem tak się szczęśliwie złożyło, że malarstwo narodów, które mieliśmy sposobność oglądać, da się zestawić w kilka różnych i pouczających kombinacyj, ze względu na pewne, podobne okoliczności, towarzyszące rozwojowi plastyki w tych krajach. A więc możemy zestawić ze sobą Włochy i Belgję, jako kraje o starych i wspaniałych tradycjach malarskich; następnie Włochy i Rosję, jako państwa, które pragną czynnego i wyraźnie określonego udziału artystów w tworzeniu obecnych form życia obu tych narodów.

Stwierdzenie, dwukrotne, rezultatów tego samego zjawiska niewątpliwie przybliża nas do ostatecznego ustalenia jego wartości. I tak, obserwując, na przykładzie Italji i Belgji, rolę tradycyj kultury malarskiej, możemy sprawdzić, czy naprawdę do tego stopnia, jak to nam się wmawia, decyduje ona o poziomie i jakości malarstwa współczesnego. Dalej, czy nowy ustrój Rosji Sowieckiej i faszystowskiej Italji, oraz wślad zatem idące przeobrażenia, wychowały w istocie nowy typ artysty, który potrafił przeciwstawić dawnej— nową rzeczywistość malarską?

Sens odpowiedzi na pierwsze pytanie nie jest bynajmniej groźny dla naszej młodości kulturalnej w plastyce; dział retrospektywny np. na wystawie belgijskiej przekonał nas dowodnie, iż każde z płócien tego działu, na takiej samej wystawie naszej, dałoby się zastąpić znacznie lepszem. Przeszłość wspaniała sztuki włoskiej nie zaważyła również do tego stopnia na współczesnem malarstwie włoskiem, by górowało ono zdecydowanie nad współczesną twórczością polską, w tym samym zakresie.

Przed odpowiedzą na drugie pytanie należy poruszyć pewne, związane z niem, sprawy.

Otóż pokazane nam, na wymienionych wystawach IPS-u, malarstwo obce pozwoliło stwierdzić, że zasięg wpływów t. zw. szkoły paryskiej jest b. duży, a uleganie jej dość powszechne. Jednocześnie organizatorzy wszystkich tych wystaw, a zapewne i część wystawiających, nie uważali stanu rzeczy za pokrywający się całkowicie z ich intencjami. Ci właśnie, jeśli nie w praktyce, to przynajmniej w słowie pisanem (w katalogu) uznawali potrzebę akcentowania w sztuce wartości odrębnych, narodowych. Taki stan rzeczy, z jednej strony, dowodzić może zmierzchu autorytetu Mekki malarskiej, z drugiej — świadczy jednak, iż nie przeciwstawiono argumentom „szkoły paryskiej", nowych, tak suggestywnych wartości, któreby całkowicie i bez reszty przekonały społeczność malarską.

Tę ambicję tworzenia nowej rzeczywistości plastycznej wykazują przedewszystkiem Italja i Sowiety, nie poprostu dla przeciwstawienia się „szkole paryskiej", jako takiej (w Sowietach niema potrzeby), lecz dlatego, by wrastające tam w życie nowe ideje znalazły również swój wyraz i w sztuce, jej treści i formie. Do tego jednak nie wystarczy trzymanie się pewnych tematów, oraz portretowanie przywódców nowego ustroju; trzeba przeorać wszystko do dna, gdyż stare nawyki ciążą, artyści zmieniają tylko tematy swych dzieł, a reszta — pozostaje po dawnemu. Nie jest to ani nowa rzeczywistość, ani nowe widzenie rzeczywistości. Sowiety np. nie zdołały jeszcze wychować nowego artysty; tego nie można załatwić tak prędko: zbyt wielu jeszcze żyje w Rosji artystów, wyrosłych w innej atmosferze, którą oddychali zbyt długo. Przytem powstają inne, niespodziane zwikłania. Czy nasz Kulisiewicz np., lub taka Käthe Kolwitz nie powinniby uchodzić za prawdziwych artystów proletarjatu? Ale sztuka Kulisiewicza w Sowietach byłaby nie na miejscu. Tylko państwo, uznane za burżuazyjne, może sobie pozwolić na wyobrażenie nędzy. W ustroju socjalistycznym proletarjusz musi być szczęśliwy.

Co do Italji, to tam monumentalna, żywiołowa i mocna sztuka — odpowiednik tendencyj faszystowskich — dopiero jest w zalążku.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„MARCHOŁT" W POZNANIU

TEATR POLSKI w Poznaniu pod dyrekcją artysty Boelkego wystawił tragikomedję Jana Kasprowicza „Marchołta". Inscenizował ten trudny do wystawienia poemat prof. Pappée, reżyserował p. Korecki. Premjera wypadła wcale dobrze.

Mimowoli nasuwało się porównanie z tym samym, eksperymentem scenicznym we Lwowie. Możliwości teatru poznańskiego są niewielkie. Na małej scenie nie można było wydobyć tych efektów dekoracyjnych, które osiągnął teatr lwowski. Że na tak małej scenie zdołano tą rzecz zagrać, to już niemała zasługa inscenizacji.

W Poznaniu potraktowano dekoracje realistycznie i wyzyskano w większym stopniu, aniżeli we Lwowie, wewnętrzne walory dzieła. Najtrudniejszy był dla Poznania akt pierwszy, ale dwa ostatnie nie nasuwały większych zastrzeżeń. Skróceń dokonano umiejętnie, reżyserja była pomysłowa. Te dwa akty wypadły bodaj lepiej w Poznaniu, aniżeli we Lwowie, bardziej były zgodne z duchem poematu. Gdyby udało się połączyć to, co zrobiły obie te sceny dla „Marchołta", przedstawienie byłoby godne tego wielkiego dzieła.

Pomimo powodzenia, jakiem się cieszył „Marchołt", sztukę po kilku przedstawieniach dyrekcja zdjęła z afisza. Stało się to z powodu nieporozumienia, jakie zaszło między córką poety p. Jarocką a dyrekcją z powodu, że ta nie zapytała uprzednio spadkobierców autora o prawo wystawienia.

Sprawa odbiła się echem dość przykrem w prasie. Dyrektor Boelke tłumaczy się, że przypuszczał, iż wystawieniem dzieła sprawi przyjemność rodzinie, z tego powodu zaniedbał formalności.

Wystawienie „Marchołta" w Warszawie powinnoby stać się ambicją Tow. krzewienia kultury teatralnej, rozporządzającego pięciu scenami. Lwów i Poznań — pomimo ciężkich warunków — wyprzedziły Warszawę w inicjatywie i pracy.

MUZYKA

FILHARMONJA.— Dziesiąty koncert symfoniczny był przeglądem utworów, ilustrujących cały wiek przemian, przeobrażeń smaku i stylu.

Zacznijmy od Beethovena, tego nieskrystalizowanego jeszcze, komponującego jeszcze muzykę do poematu „*Geschöpfe des Prometheus*". Wykonana na początku uwertura była jakby rzeczywistym wstępem do następnego dzieła —

piątej symfonji *c-moll*, skrojonej na wielką miarę, pełnej powagi ogromnego, genjalnego wysiłku twórczego. Gdy weźmiemy lata jej budowy i zestawimy je z koncepcją kompozytora, konsekwencją w przeprowadzeniu całości zamierzenia i jasnością konstrukcji, zadziwi nas jednolitość wyrazu, zadająca kłam rozpowszechnionemu dzisiaj poglądowi, jakoby silne w swej szczerości i bezpośredniości dzieło mogło być tylko owocem chwilowego impulsu, pierwszego wrażenia, poglądowi będącemu pozostałością romantyzmu a zwłaszcza impresjonizmu, zrozumiałych zresztą reakcyj na kostniejący, zarozumiały akademizm.

IV symfonja Szymanowskiego, aczkolwiek jest wytworem znacznie krótszego okresu, aniżeli ten, który budował V-tą symfonję Beethovena, obrazuje jednak cały, długi okres twórczości naszego wielkiego kompozytora po odkryciu przez niego wartości muzyki podhalańskiej, co to swym niezwykłym prymitywem wywarła na niego, jak się okazuje, daleko większy wpływ, aniżeli wyrafinowanie współczesnej sztuki, z którą się dzięki swej wysokiej inteligencji stykał bardzo blisko.

IV symfonja niewątpliwie należy do najbliższych nam dzieł. Bliskość ta sprawia, iż zdolniejsi jesteśmy wyczuć tu łatwiej każde uchybienie w interpretacji, a zwłaszcza fałsz, nieprawdę, łatwiej aniżeli w jakiemś innem dziele. Partji fortepianowej, odtworzonej przez samego kompozytora, nie możemy, oczywiście, stawiać żadnego zarzutu, prowadzenie orkiestry nie zawsze jednak mogło nas zadowolić.

„Popołudnie Fauna" Dêbussy'ego odegrane bezpośrednio po Szymanowskim, należało do pomysłów mocno nieszczęśliwych. Jeszcze żywy rytm ostatniej części symfonji czuliśmy każdym swoim nerwem, gdy usiłowano nas gwałtownie wprowadzić w leniwy nastrój poematu. Usiłowanie to tembardziej nie odniosło skutku, że zarówno dyrygent, jak i orkiestra zdawali się w dalszym ciągu pozostawać pod suggestją wielkiego dzieła Szymanowskiego, czemu się trudno zresztą dziwić.

„Popołudniu Fauna" brak było owej subtelności, jaka przenika twórczość artysty, co to miał, według słów poety „do trzeciej potęgi podniesione zmysły: drżący dotyk nerwów, smak ostry...", a przecież przy wykonywaniu Beethovena zdobywano się aż na zbyteczne *pianissima*, noszące typowy charakter sztuczek ze sztuką. Dêbussy wypadł zdecydowanie i niesprawiedliwie słabo.

Zato Prokofjew marszem z opery „Miłość do trzech pomarańczy" wkroczył na salę, imponując z miejsca swym rozmachem i temperamentem graniczącym wprost z żywiołowością. Prawie że się widziało kompozytora, kładącego śmiało wyraźne barwy i tworzącego z nich jakąś radosną kompozycję.

Mimowoli przychodziła na myśl nasza opera, która zapewne nigdy nie zdobędzie się na odwagę wystawienia tego dzieła. Wyobraźmy sobie bowiem tylko wrażenie, jakie wywarłyby inaczej niż zwykle ułożone i jakoś aż dziwnie zdecydowane dźwięki oraz gromada rzeczywistych aktorów, słowem teatr z prawdziwego zdarzenia. Wyobraźmy sobie zgorszoną minę zasiedziałego nienaruszalnie „wampukizmu"! Prawda — odbiegłem daleko od piątkowego koncertu, ale czy będzie sposobność przy omawianiu życia stołecznej Opery wymienić nazwisko takiego Prokofjewa? Ależ nasza „szanowna instytucja" przeżywa wciąż jeszcze bohaterskie czasy Verdiego, każąc przytem wierzyć, że z zapowiadanych sztuk, zrealizowany będzie „Dybuk". Koniecznie i napewno. I znowu dygresja...

Marsza przyjęto niezwykle gorąco, IV-tą symfonję ponadto — serdecznie.

Dyrygował Jascha Horenstein nie zawsze na poziomie, chociaż pełen dobrych chęci i widocznego (optycznie) wysiłku. Stanowczo zresztą gorszy, aniżeli w roku ubiegłym.

W. NARUSZ

JESZCZE O „SYZYFOWYCH PRACACH"

OMAWIAJĄC na łamach „Myśli Narodowej" (art. „U źródeł „Syzyfowych prac"" w nr. 1 z dn. 1.I b. r.) sprawę zależności tej powieści od broszury R. Dmowskiego o „Gimnazjach rosyjskich w Polsce", nie uwzględniłem ciekawego listu Stefana Żeromskiego z r. 1897 do Ignacego Domagalskiego, znanego pisarzowi z Rapperswilu.

List ten ogłoszony był w V tomie „Pamiętnika Koła Kielczan" przez red. Zygmunta Wasilewskiego i opatrzony był przez niego wyjaśnieniami. Znajdujemy w tym liście potwierdzenie i uzupełnienie wypowiedzianych w artykule poglądów na sprawę stosunków Żeromskiego z Dmowskim w obliczu wspólnych zainteresowań sprawami rosyjskiego szkolnictwa. Okazuje się, że gdy Żeromski zabiegał o wydanie szkicu Dmowskiego, to jednocześnie Dmowski usiłował ułatwić Żeromskiemu druk „Syzyfowych prac". Mówiąc nawiasem, Żeromski nazywa w liście tę swoją pracę „ramotą"... Żeromskiemu śpieszyło się z drukiem ze względu na ówczesne zainteresowanie zagadnieniem szkolnem w Królestwie, czego właśnie wyrazem były artykuły Dmowskiego w „Przeglądzie Wszechpolskim" z r. 1896.

W uwagach Z. Wasilewskiego do omawianego listu Żeromskiego znajdujemy sprostowanie błędnego mniemania, (któremu i ja uległem), jakoby „Syzyfowe prace" drukowane były w r. 1897 w „Nowej Reformie". Z. Wasilewski wyjaśnia, że powieść Żeromskiego w „Nowej Reformie" drukowana nie była; wydało ją odrazu w książce w r. 1897 Tow. Wydawnicze lwowskie, opatrując książkę datą 1898 r.

EMIL ZAREMBA

NA MARGINESIE

Mowa posła B. Winiarskiego, podczas debaty budżetowej w Sejmie wygłoszona, zrobiła w społeczeństwie wielkie wrażenie. Była to krytyka stosunków wytwarzanych przez administrację państwową ze szczególnem uwzględnieniem działalności policji.

W prasie najenergiczniej wystąpił w obronie tych stosunków... Zgadnijcie, kto? No, przecież, jak wam się zdaje: kto wziął najżywiej tę krytykę do serca?

— Członek Akademji Literatury, p. Wincenty Rzymowski.

A tak się spierano, komu właściwie będzie potrzebna Akademja...

*

Polska Akademja Literatury delegowała swego sekretarza generalnego, akademika J. Kaden-Bandrowskiego do Berlina, aby wygłosił tam odczyt na temat „przewartościowanie w a r t o ś c i n a r o d o w y c h w P o l s c e".

Ponieważ, jak twierdzą owe dzienniki, Kaden zrobił furorę, więc zachodzi pytanie, co tak przyjemnego hitlerowcom powiedział.

— Nie bójcie się Polski. Nie jest to już Polska narodowa, lecz Judeo-Polska. Przewartościowana... *Heil!* Rozbrojona moralnie... *Heil!*

— Patrzcie na mnie — mówił. — Oto-m najświeższy model. Oto-m autor „Bigdy", nie zawiodę was nigdy.

*

Przemawiając przed sądem w sprawie eksmisji kolejek dojazdowych z granic m. Warszawy, pełnomocnik magistratu, adwokat Jezierski oświadczył (patrz sprawozdanie w „ABC" nr. 53 z dn. 18 b. m.):

— „Kolejki, w tym stanie, w jakim widzimy je obecnie... były... już... w roku 1900 ś r e d n i o w i e c z n e m przedsiębiorstwem. W tym bowiem czasie w Europie Zachodniej zamieniano lilipucie samowarki na nowoczesne, elektryczne parowozy."

Pan mecenas umie sięgnąć po argument do historji: Jedynie w średniowieczu tego rodzaju kolejki dojazdowe były istotnie—jak wiadomo—w powszechnem użyciu. Szerzej pisze o tem Jan Długosz oraz Wincenty Kadłubek w swojej kronice...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ŻYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM